Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 25 (1865) ● 19–25 czerwca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 25

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl e9ac69a6d6

WOJNA DOMOWA

Prezydent Nałraki skoczył do USA na imprezę u Donalda. Impreza połączona była z mordobiciem, słowem – świetna i nawet udało mu się minutę porozmawiać z jubilatem. W telewizji brata Karnowskiego wyjazd komentował były rzecznik MSZ Łukasz Jasina: „Mamy taki sojusz z Amerykanami, że ktoś musi brać na siebie ten krzyż i od roku ten krzyż bierze na siebie pan prezydent Nawrocki". Po melanżu Donald skoczył do Évian na G7, gdzie krzyż wspólnie nieśli liderzy Francji, Wielkiej Brytanii, Kanady, Niemiec, Włoch, Japonii, Brazylii, Indii i UE, którzy zgodnie uznali, że Ukraina ma „nowy impet" w wojnie z Rosją. Macron ogłosił też, że Trump „powiedział bardzo jasno: powinniśmy być bardziej twardzi, a terytoria Ukrainy powinny do niej wrócić, bo do niej należą". To sprawa rozstrzygnięta.

„Wczoraj wydarzyła się rzecz z precedensem – ale z precedensem sprzed kilkudziesięciu lat: oto niemieckie bojówki w mundurach brutalnie spacyfikowały i pobiły polskich patriotów, którzy z krzyżem chcieli uczcić pamięć pomordowanych bestialsko milionów Polaków" – ogłosił z sejmowej mównicy kandydat PiS na premiera prof. Przemysław Czarnek. Cała Polska wstrzymała dech, bo wszak wiadomo, co to znaczy, jak Niemcy nas biją – i niekoniecznie to, że Jan Maria Rokita awanturował się w samolocie. Wkrótce jednak poznaliśmy szczegóły. Otóż Bąkiewicz z grupą kamratów udali się do Berlina, gdzie próbowali postawić czterometrowy krzyż z malutkim Chrystusikiem koło kamienia, który ma upamiętniać Polaków pomordowanych w II wojnie światowej, ale czyni to nie dość godnie. I rzeczywiście, policja odrywała ich od tego krzyża dość brutalnie, ale nurtuje nas pytanie: jakim trzeba być debilem, żeby się napierdalać z niemiecką policją w Berlinie i potem przybiegać z płaczem do mamy? Było zapytać demonstrantów propalestyńskich, których traktowanie skłoniło ONZ do wydania oświadczenia następującego: „Jesteśmy zaniepokojeni utrzymującą się tendencją do stosowania przemocy przez niemiecką policję"...

Innym źródłem antyrządowej ekscytacji w tym tygodniu był niejaki Dawid Kacprzyk: 29-letni lekarz bez specjalizacji, który w ciągu roku zarobił 1,6 mln zł, głównie w stołecznym Szpitalu Południowym, gdzie jako kierownik SOR przepracował cały rok łącznie z weekendami, po 11 godzin dziennie. Od razu pojawiła się supozycja, że jego fortuna ma niejaki związek z faktem, iż jest radnym KO w Ursusie. W sprawie natychmiast wypowiedział się szef rządu, który ogłosił, że „mamy w Polsce rekordową ilość szpitali" i „to jest tykająca bomba; wszyscy wiedzą, że szpitali jest za dużo, i to jest między innymi powód, dla którego tak łatwo wykorzystywać system"... A jak się czegoś ma za dużo, to co trzeba z tym zrobić? No co? Sprzedać. Nie wiedzieć czemu przypomniała nam się słynna, acz niesławna posłanka Sawicka z PO: „Biznes na służbie zdrowia będzie robiony"... Patrzcie państwo, 20 lat minęło, a idea wiecznie żywa.

W Białej Podlaskiej w biały dzień do jednego faceta podeszło dwóch innych i oddało w jego kierunku pięć strzałów z broni palnej, zabijając go na miejscu. Potem dowiedzieliśmy się, że zabity to obywatel Federacji Rosyjskiej – wobec czego część internetu rozpoczęła świętowanie. Na przykład tak jak jeden dziennikarz Polskiego Radia: „Jednej ruskiej bladzi mniej – »chłopcy z Ukrainy spisali się w Białej Podlaskiej na medal« – powiedział mi zaprzyjaźniony bezpieczniak. »Egzekucja w starym, dobrym stylu« – dodał". Atoli rozeszło się, że zabity, Robert Kuzowkow znany po pseudonimem Siemion Skriepiecki, rysował złośliwe karykatury prezydenta Rosji. Ton się zmienił na – to już pasek z Tefałenu – „Dwóch obywateli Białorusi zatrzymanych ws. zabójstwa krytyka Putina". Wszystko jasne, nie? Potem niestety okazało się, że Białorusini nie mają z zabójstwem nic wspólnego i trzeba ich wypuścić. Donalda Tuska to jednak nie speszyło: „Wiadomo, że zastrzelony był takim niczego nieukrywającym krytykiem Putina i jego reżimu, wszystko na to wskazuje, że to było zabójstwo polityczne"… Być może. Kuzowkow vel Skriepiecki nie darzył też miłością Ukrainy i jej światłego przywódcy. Do tego stopnia, że jego dane, wraz z adresem i numerem telefonu, znalazły się na ukraińskim portalu Myrotworec („twórca pokoju"), który publikuje listę „wrogów Ukrainy". W 2015 r. dwaj ukraińscy opozycjoniści, antyrządowy dziennikarz Ołeś Buzyna i były poseł Oleg Kałasznikow, zostali zastrzeleni na ulicach Kijowa chwilę po ujawnieniu ich danych i adresów przez Myrotworca. Tak tylko mówimy...

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak został obrzucony tortem przez jednego z działaczy Wielkopolskiego Stowarzyszeniem Lokatorów. Lokatorzy niepokoją się sytuacją na Osiedlu Maltańskim, które sąd „zwrócił" parafii św. Jana Jerozolimskiego za Murami, ta zaś – niespodzianka – sprzedała deweloperowi, co grozi eksmisją kilkuset rodzin. Prezydent Jaśkowiak nie wyraża zainteresowania problemem, co wzbudziło lokatorskie niezadowolenie objawione w torcie. To akurat prezydenta zainteresowało: „Chciałbym doprecyzować, że zostałem uderzony ręką, w której napastnik trzymał tort, dlatego to uderzenie zostało zamortyzowane i nie było tak szybkie, ale to był zawodnik muay thai, bardzo niebezpieczny człowiek". No groza, panie, groza się czai w torcie.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

Czerwiec 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętej Elizy

„Fakt" jest gazetą dla idiotów. Automatycznie osiąga więc w Polsce największą poczytność. Dziennik ten podjudza na przemian dwie emocje: zawiść i samozadowolenie. Łącznie daje więc szczęście. Odbiorcy „Faktu", czytając, zazdroszczą gwiazdom kolorowego świata, cycków, kochanek, żon, domów, wzwodów, rozwodów, orgazmów, ciąż, aut, sukien, homarów w sosie porzeczkowym, życia chodzonego na czerwonym dywanie.

„Fakt" opisuje też, że zła matka swemu dziecku wyrwała jedną nogę z dupy, czytelniczka myśli więc o sobie jako wzorowej matce, której bachor zachował obie. Cudze raki, wodogłowia, wypadki, zbrodnie dowartościowują szare życie nabywców gazety, unosząc ich ponad nieszczęśników.

„Fakt", tak jak Bóg, jest stwórcą świata. Wkracza się weń bodaj za 2 zł. Pokazuje szczura i nazywa go żyrafą, a idioci widzą gryzonia z dwumetrową szyją. Tak więc „Fakt" pokazuje fotografię domu letniskowego Kwaśniewskich na Mazurach, jakich są tam tysiące, i pisze: oto pałac. Dom jest chyba posadzony na betonowej płycie, która wystaje poza ściany, a „Fakt" komentuje beton: oto tarasy, gdzie opalają się pp. Kwaśniewscy. I czytelnicy widzą w wyobraźni eksprezydenta chłodzonego przez fontannę sikającą szampanem i wiadomą Jolantę gołą i tańczącą przed mężem na czele baletu kochanek potrząsających silikonami. Na koniec tańca Jolanta z niegruźliczej piersi wyrywa swoje miękkie serce i rzuca mężowi to mięso.

Brukowce rozwijają wyobraźnię, ale w kierunku złoconego banału.

„Fakt", licząc Kwaśniewskim pieniądze, sugeruje, że godne zarobki to głodne zarobki. Domy właściciela oraz redaktora dziennika nie są pokazywane. Może „NIE" je odnajdzie.

Jakiegoś Trynita

Strasznie szkoda mi Marka Belki, którego zaatakowało PiS. To wspaniały człowiek: mądry, chociaż ekonomista, uroczy, dowcipny, wnikliwy. Och, gdybyż Belka był pedałem, a ja młodym efebem…

Afera w swoich wyborczych skutkach może doprowadzić do faszyzacji Polski. Zamierzam uciekać pomiędzy wygraniem przez PiS wyborów parlamentarnych a przejęciem realnej władzy przez potwornego Kaczora. Daniszewska ma dowiedzieć się, czy do Berlina wolno wywozić zabytki pamięci narodowej. Konkretnie chodzi o parę obrazów i o mnie.

Świętego Jeana Franciszka

Gdyby prof. Chazan, będąc republikaninem, podstępnie wyskrobał Brytyjczykom następcę tronu, nie uzyskałby takiego rozgłosu, jaki zdobył, odmawiając usunięcia płodu potworka bez mózgu. Teraz brzuchate dewotki z Kościoła chrześcijańsko-rozporkowego ustawią się do niego w kolejce tarasującej ulice Warszawy. Istnieje polska specjalność gospodarcza: niewidzialna, bo boska ręka rynku.

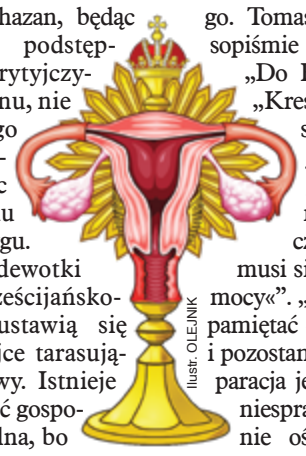

Ilustr. OLEJNIK

Świętego Hervé

Wolność nie ma twarzy, słowo też nie ma mordy. Dlatego prezydent Komorowski odsłonił wyczynowy tor deskorolkowy jako pomnik wolnego słowa. I jest ono rozjeżdżane przez wolność jazdy. W PRL uważałem cenzurę za sprzymierzeńca swobody i potrafię to uzasadnić. M.in. tym, że najmarniejszemu nawet pisarzowi partia i rząd zapewniały przynajmniej jednego czytelnika w osobie cenzora. Wszystko, co wiąże się z wolnością, uwikłane jest w paradoksy. Adam Michnik, redaktor wolnej gazety, wojując z PRL i wygrywając wolność dla słowa, wywalczył więcej jej dla mnie niż dla siebie. On jest więźniem środowiska bojowników o wolność, a moje środowisko umarło w rozbiciu. Mogę więc krytykować kogo chcę, nawet Palikota, pudla Azora – komandora OOP, Daniszewską, aż po siebie samego.

Świętego Leonsa

Mamy nawet tutejszego odpowiednika rosyjskiego Żyrinowskiego. Tomasz Kwaśniewski w czasopiśmie o paradoksalnym tytule „Do Rzeczy" napisał artykuł „Kresy zawsze pozostaną nasze". (W „Do Rzeczy" Joanna Szczepkowska gra rolę stałej felietonistki piszącej od rzeczy). Głosi on: „Polska musi się także zdobyć na »wolę mocy«". „Nie wolno nam przestać pamiętać o tym, że Kresy były, są i pozostaną nasze, a ich obecna separacja jest efektem wyrządzonej niesprawiedliwości, której dziś nie ośmielamy się naprawić przemocą…". Chwali oderwanie Krymu przez Rosję, sugerując, jak Żyrinowski, że Polska powinna zrobić to samo z Ukrainą Zachodnią i Litwą (Kresami i Wileńszczyzną). Nie wspomina jakoś o oddaniu Niemcom ich kresów, tj. ziem północnych i zachodnich Polski, które otrzymaliśmy jako rekompensatę za polskie ongiś kresy wschodnie.

Mamy więc już imperialistyczny i neokolonialistyczny odłam polskich nacjonalistów. Sęk w tym, że nie ma na Ukrainie, Białorusi i Litwie propolskich separatystów, których można by wspomóc, wysyłając biało-czerwonych ludzików i czołgi.

W szkołach uczą i wszyscy Polacy wiedzą, że w roku 1795 Rosja, Prusy i Austria dokonały ostatecznego rozbioru Polski, co było straszną zbrodnią. Odrodzone po 1918 r. państwo polskie zaraz zrobiło dokładnie taki sam rozbiór Ukrainy. Uczy się o pokoju ryskim kończącym najazd bolszewików na Polskę. Nie nazywa się go rozbiorem Ukrainy między Rosję radziecką a Polskę, którym był. W ten sposób to Polska jest uciśnionym niewiniątkiem. Na podłożu tego wrednie dobrego samopoczucia patriotyzm, czyli szowinizm, wyradza się w odrażający kretynizm polityczny.

Świętej Amandy

TVN24 nie powinna zapraszać do rozmów prawicowych posłów typu pan Jaworski, pani Kempa, pani Wróbel. Oni wygrywają każdą dyskusję poprzez zakrzyczenie. Mordy im się nie zamykają, wrzeszczą, są więc górą. Przypuszczam, że są to osoby głośne a nerwowe, gdyż chronicznie niepalące. Wiążę ich chamstwo z niepaleniem, ponieważ mój Azor postępuje podobnie. Nie zważa, kto co mówi, tylko szczeka, nawet jak przemawia Obama albo papież. Otóż Azorek należy do psów niepalących. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- W Żabkach pojawił się napój – Eliksir Młodości sygnowany przez **Krzysztofa Ibisza**. W ramach promocji proponujemy do napoju dodawać bilet do Turcji.
- **Prezes Kaczyński** powiedział, że człowiek i CO_2 nie mają wpływu na zmiany klimatu. Ale przecież według PiS-u zmiany klimatu nie istnieją.
- **Marta Nawrocka** wzięła udział w Ogólnopolskim Zjeździe Dużych Rodzin. A można było do Wałęsów podjechać.
- **TV Trwam** pyta, komu zależy na oddaniu Niemcom polskiej soli? Jeszcze będą nią autobahny posypywać.
- **Karol Nawrocki** podaruje Trumpowi 120-kilogramową marmurową tablicę. Przyszłościowy prezent – jakby co Melania tylko uzupełni datę.
- **Filip Chajzer** powiedział, że swoje mieszkanie zawdzięcza świętej Ricie. A ponoć niektórzy modlą się o pokój na świecie.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Android wrogiem „NIE"

Od pierwszego numeru czytam „NIE". Od paru lat prenumeruję wersję internetową. Do przedostatniego numeru czytałem tygodnik przy pomocy aplikacji e-kiosk. Dzisiejszego numeru nie mogę pobrać, ponieważ po zmianie telefonu nie mogę korzystać już z e-kiosku. Otrzymuję komunikat, że na nowej wersji mojego Androida nie można jej zainstalować. Wkurzał mnie ten e-kiosk od zawsze, (...) ale czytać „NIE" jakoś od biedy się dało. Teraz nawet tego nie mam, choć prenumerata opłacona. Jestem wkurwiony.

Zbigniew Rykowski

Uratować Wiatera

Pozwalam sobie na zwróceniu Państwu uwagi na rzecz moim zdaniem skandaliczną. Otóż przed siedemnastu laty m.st. Warszawa zorganizowało stały plener współczesnych rzeźb w ramach, jak to ładnie nazwali, „Budowania Stałej Kolekcji Rzeźby Współczesnej w Przestrzeni Publicznej". Ów plener zorganizowany został w Pasażu Wiecha. Teraz w związku z przebudową tegoż władze miasta postanowiły pozbyć się rzeczonych dzieł rzeźbiarskich. Pozostało ich niewiele. Takie podejście władz miasta uważam za skandaliczne. (...) W tych, które jeszcze zostały w pasażu (przewalane z miejsca na miejsce, by docelowo je usunąć), jest rzeźba waszego nieżyjącego Autora doskonałych prześmiewczych rysunków, ciągle jeszcze u Was publikowanego Tomasza Wiatera, który był także cenionym rzeźbiarzem.

(…) Uratujcie to dzieło przed niechybną zagładą. Pozwolę sobie podpowiedzieć jak. Otóż macie przed wejściem do Waszej redakcji ładniutki skwerek, modnie teraz zwany parkiem kieszonkowym. „Wyrwijcie" z rąk tych urzędasów miejskich rzeźbę i ustawcie przed swoją siedzibą. Ku chwale Wiatera i „NIE". Sądzę, że Redakcję stać będzie na taki wysiłek.

Paweł Ludwicki

Astronauta w kosmosie

W numerze 22–23 z br. pan doktor Sławosz Uznański-Wiśniewski dwukrotnie nazwany został astronautą (kolumna „Słówka półgłówka" i „Nauka, głupcze"). Ktoś kiedyś zauważył w internecie, do czego się przychylam, że Polacy latają w kosmos, a nie w astry. Chyba że chodziło o to, żeby nasz naukowiec wydał się „taki piękny, amerykański"... Taki właśnie był koń Kargula z „Samych swoich".

Janusz Wrzecion

eprasa.pl e9ac69a6d6

Podżegacze i papieże

Kiedy to militarne szaleństwo się skończy, wszyscy będziemy się dziwić, że trwało tak długo.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tak jak propagandowym kłamstwem było twierdzenie, że Iran zagraża bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych, ponieważ wkrótce mógłby wejść w posiadanie broni nuklearnej i jest jakoby o krok od wyprodukowania zdolnych do jej przenoszenia rakiet balistycznych długiego zasięgu, tak i nieprawdą jest lansowana przez wielu polityków i niektóre media supozycja, iż Rosja szykuje się do wojskowej napaści na nas.

Raz to słyszymy, że wpierw na państwa bałtyckie, teraz, że może nie, może wpierw na kogoś na Kaukazie, chociażby na Azerbejdżan, ale wkrótce potem na nas. Rok, dwa, trzy lata temu straszono społeczeństwo, że będzie gotowa do tego za trzy, dwa lata albo nawet za rok, obecnie termin napaści jest coraz to bardziej przesuwany, ale nadchodzi… Może już wręcz za kilka dni.

Straszenie jakoby zbliżającą się wrogą napaścią ze wschodu nie znika nawet ze szpalt poważnych gazet. Jedna z nich zapytuje: „Czy Kreml celowo prowokuje Ukrainę przed 9 maja?", aby natychmiast odpowiedzieć, że tak. „Putin nie może nie liczyć się z tym, że bombardując ukraińskie miasta, rozwiązuje ręce władzom w Kijowie, które mogą boleśnie zrewanżować się 9 maja. Być może jednak gospodarz Kremla właśnie na to liczy". To dosyć oryginalna figura retoryczna, która sugeruje, że rosyjskiemu możnowładcy zależy na wysyłaniu przez Ukrainę dronów z bombami nad Moskwę, aby miał pretekst do dalszych ataków na Kijów, jakby już tego nie czynił od ponad 50 miesięcy, uzasadniając tę agresję swoimi rojeniami.

Przed orkiestrę wybiegł nawet sam premier Tusk, mówiąc w wywiadzie dla „Financial Times" – a jest to bardzo opiniotwórcza gazeta czytana w profesjonalnych kręgach na całym świecie – że „Rosja może zaatakować członka sojuszu w ciągu »kilku miesięcy«". Nasza krajowa polityka nie byłaby sobą, gdyby natychmiast nie zareagowali oponenci rządu.

Szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcin Przydacz postawił szefa rządu w obliczu ostrej alternatywy: „Jeśli premier RP mówi wprost, że Polsce grozi ze strony Rosji za kilka miesięcy wojna, to należałoby rozpocząć daleko idące przygotowania, a nie wydaje nam się, aby premier realnie takie działania podejmował. Więc albo jest człowiekiem niepoważnym, albo ukrywa informacje, trzeciej możliwości tutaj nie ma".

Barbarzyńcy z Mordoru

Otóż jest trzecia możliwość. W taki sposób można tłumaczyć kryzysowy stan finansów publicznych jako rezultat koniecznych do ponoszenia wysokich wydatków wojskowych, które obronią nas przed tym atakiem – jeśli nie w ogóle, to przynajmniej w ciągu „kilku miesięcy".

Wszystko po to, aby podtrzymywać militarną psychozę, gdyż bez niej kontynuacja nieracjonalnych programów zbrojeniowych szybko okazałaby się niemożliwa, ponieważ społeczeństwo nie akceptowałoby tak uprawianej polityki. Po to ta chora militaryzacja państwa i gospodarki

oraz nadchodzące w ślad za tym, jak można się obawiać, ograniczanie demokracji. Cenzura już daje o sobie znać.

Nie ma dnia, by zaniechano tych fiksacji. Chyba po to, aby nie wypaść z rytmu… Już grubą księgę dałoby się złożyć z gazetowych doniesień, jak to wroga armia rosyjska szykuje się do najazdu na upatrzone cele w NATO. Jeśli nic dostatecznie dramatycznego się nie dzieje, to zawsze znajdą się jacyś „fachowcy", którzy niby wiedzą, co się szykuje, i są skorzy nas trwożyć. „Eksperci" najczęściej są anonimowi, więc często po prostu nie istnieją, faktycznie bowiem są to powołujący się na nich insynuujący autorzy czy redaktorzy wymownych artykułów. Nie sposób ich tekstów zweryfikować, przeto trudno zdecydować, co jest rzetelną informacją, a co intencjonalną dezinformacją. Skoro nie wiemy, to pozostaje wierzyć – albo i nie. I tak oto „dowiadujemy się", że wojska rosyjskie już prawie wjeżdżają na wschodnie tereny Estonii, gdzie skądinąd przeważa ludność rosyjska i rosyjskojęzyczna (w Estonii jest to prawie jedna czwarta ludności, a w przygranicznej Narwie aż 85 proc. mieszkańców), kiedy indziej, iż „Rosja gromadzi wojska na zachodniej granicy. Zagrożona jest zwłaszcza Litwa".

Tak, ludzie mają się lękać, aby politycy – obojętnie z kręgów rządzących czy opozycyjnych zamieniających się od czasu do czasu rolami – wraz z ich uczynnym zapleczem medialnym mogli troszczyć się, oczywiście kosztem tychże ludzi, o ich bezpieczeństwo. Jakże celnie postrzega to Marek Świerczek, były oficer Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego (szkoda, że były), który na zadane mu pytanie: „Wspomniał pan, że Rosjanie dążą do osłabiania nas m.in. poprzez przeciążanie aparatu kontrwywiadowczego. Robią to poprzez masowe, pozornie chaotyczne akcje, które zmuszają służby do reagowania na wielu frontach. Czy skutkiem ma być wzbudzenie w nas strachu i spowodowanie, abyśmy mimowolnie grali w ich orkiestrze?" odpowiada: „Zgadzam się. Po pierwsze, nie wiadomo, dlaczego konflikt na Ukrainie i tarcia militarno-polityczne z Federacją Rosyjską doprowadziły w całej Europie do czegoś na kształt szpiegomanii i histerii wojennej. Obserwujemy wmawianie ludziom, że Rosja wywoła wojnę, pomimo że jest to państwo, które nie może sobie na to pozwolić, bo nie ma ani pieniędzy, ani nawet zasobów ludzkich, żeby skonfrontować się z NATO. Z drugiej strony buduje się w społeczeństwie przekonanie, że Rosjanie to dzicy barbarzyńcy, żywcem wzięci z Mordoru, którzy bez powodu napadają, niszczą, gwałcą i mordują. Jednocześnie nikt nie jest w stanie wyjaśnić, dlaczego mieliby właściwie to zrobić. Wojnę na Ukrainie da się wytłumaczyć geopolityką, bo w istocie jest to na chłodno rozgrywana partia geostrategii. Moim zdaniem rozniecanie histerii wojennej w Polsce jest tak naprawdę działaniem na rzecz propagandy rosyjskiej". W Moskwie zacierają ręce?

Barrakudy na Moskwę

Przy sposobności warto mieć świadomość, że wszystko jest kontekstualne; dzieje się na tle czegoś, w związku z czymś, wobec innych, pomimo że… i tak dalej. Dlatego też należy miarkować rozmaite oceny i uważać na przywoływane porównania. Przedwojenny styk Rosji z Ukrainą to zgoła odmienny układ niż jej sąsiedztwo z państwami bałtyckimi, w tym z Estonią, zarówno z demograficznego, jak i z ekonomicznego punktu widzenia.

Ukraina na początku 2022 r. liczyła nieco ponad 41 milionów mieszkańców, natomiast Estonia ma ich obecnie zaledwie 1,33 mln. Ludność Rosji to ponad 143 miliony. Wielu rosyjskojęzycznych Ukraińców zamieszkujących wschodnie regiony kraju wolałoby wtedy przynależeć do Rosji, nie tylko ze względów kulturowych, lecz również dlatego, że dochody tam były ponad dwuipółkrotnie większe; odpowiednio około 4,6 i 12,5 tys. dol. na głowę w 2021 r. W przypadku Rosji i Estonii jest odwrotnie, gdyż PKB na głowę w tym drugim kraju jest obecnie z górą dwukrotnie większy niż w tym pierwszym; odpowiednio około 38 i 18,5 tys. dol. Posiadanie paszportów państwa członkowskiego UE oraz przynależność do strefy Schengen też mają istotne znaczenie. (…)

Trzeba odróżniać wojenną propagandę od realiów napięć politycznych, których bynajmniej nie brakuje. Tym bardziej nie należy potencjalnego agresora prowokować; raz to szykanami wobec ludności rosyjskiej na północy państw bałtyckich, innym razem dotkliwymi ograniczeniami w tranzycie do obwodu kaliningradzkiego na południu tego wrażliwego regionu. W szczególności ten drugi przypadek wymaga koncyliacyjnego traktowania i niczemu dobremu nie służy nazywanie go obwodem królewieckim. Dobrze, że przynajmniej Niemcy nie określają go jako Königsberg… Unia Europejska słusznie nałożyła na Rosję sankcje ograniczające możliwości przewożenia tranzytem przez Litwę do tej eksklawy towarów o przeznaczeniu militarnym, ale nadgorliwość w blokowaniu transportu wszelkich produktów tak zwanego podwójnego stosowania, w tym zwłaszcza materiałów budowlanych, to igranie z ogniem. Obojętnie, rzeczywista czy urojona prowokacja jest prowokacją, a tego trzeba unikać.

A jak ma się czuć Kaliningradczyk (Królewczanin?), gdy rosyjskie media mu donoszą – a czynią to z lubością – że oto w Polsce mówi się o możliwości szybkiego wojskowego zajęcia jego krainy? Co myślą Rosjanie, gdy dowiadują się, że w jednej z najważniejszych polskich gazet pod nagłówkiem „Polska tworzy dywizję zdolną zająć obwód królewiecki" pisze się, iż „naprzeciw obwodu królewieckiego Polska buduje dywizję, która ma zneutralizować rosyjski przyczółek w ciągu godzin"? Przecież nie wyjaśniają, że to hipotetyczne rozważania, tylko akcentują, iż wróg się do tego szykuje. Co ma sądzić Moskwiczanin, gdy tamtejsi propagandyści przytaczają mu wieści zaczerpnięte z polskich mediów zatytułowane „Nowa broń w arsenale wojska. Polska będzie mogła zaatakować Moskwę"? Przecież cytując stosowny fragment – „posiadanie tego rodzaju pocisków manewrujących [rakiety Barracuda] teoretycznie dałoby Polsce możliwość zaatakowania Moskwy, która znajduje się około 900 km od granicy państwa" – pomijają słowo „teoretycznie" i bez ceremonii podkreślają, że do takiego ataku przygotowujemy się praktycznie. To musi niepokoić, tym bardziej że nawet niektórzy polscy stratedzy militarni i generałowie o takich ewentualnościach mówią publicznie, a to, iż chodzi im o odstraszanie potencjalnego agresora i co najwyżej odwet za jego atak, jest tam skrzętnie przemilczane. Zamiast szukać porozumienia, dodatkowo konfliktują wzajemne stosunki; zamiast rozładowywać napięcia, nasilają je jeszcze bardziej; zamiast rozmawiać, jedni i drudzy się zbroją. (…)

Ex ante nie wiemy, ile lat zmarnujemy, zanim dojdziemy do kolejnego pozytywnego przełomu i zapoczątkujemy następną demilitaryzację świata, kontynentu i Polski. *Ex post* będziemy się dziwić, dlaczego trwało to tak długo. Gdy już kiedyś wreszcie nastąpi otrzeźwienie – bo taki czas nadejdzie – ludzie będą się głowić, jak to w ogóle było możliwe, aby tak gigantyczne pieniądze zmarnować na zbrojenia, skoro wojny nie było.

Obie strony aktualnego sporu będą obstawać przy swoim. Militaryści będą twierdzić, że stało się tak dlatego, iż zbrojąc się, przestraszyli wroga i nie odważył się on wyleźć z okopów, ja zaś będę powtarzał, że wojny nie było, bo nie miało jej być. No chyba że jacyś szaleńcy, a są tacy po obu stronach zimnego frontu, dla udowodnienia słuszności swoich militarystycznych zapędów zechcą zamienić go we front gorący.

Kto dzierży broń

Rację miał papież Franciszek, gdy w obliczu poważnego niedofinansowania zaspokajania elementarnych potrzeb ludności podnoszenie wydatków zbrojeniowych nazwał szaleństwem: „Zrobiło mi się wstyd, kiedy przeczytałem, że grupa państw [NATO] postanowiła podnieść do 2 procent PKB wydatki na zbrojenia jako odpowiedź na to, co się dzieje. Szaleństwo (…) prawdziwą odpowiedzią nie jest więcej broni, następne sankcje i sojusze polityczno-militarne, ale inny sposób zarządzania światem; nie przez pokazywanie zębów". Za te mądre słowa spotkała go ostra riposta i natychmiast dowiedzieliśmy się, że Franciszek zachowuje się „niczym lewacy sponsorowani kiedyś przez ZSRR".

Rację ma papież Leon XIV, krytykując przywódców politycznych za to, że „przymykają oczy na fakt, iż miliardy dolarów wydaje się na zabijanie i dewastację, a środków potrzebnych na leczenie, edukację i odbudowę nigdzie nie ma". Mówiąc, że „panowie wojny udają, iż nie wiedzą, że zniszczenie zajmuje tylko chwilę, a często całe życie nie wystarcza, by odbudować", znowu naraził się amerykańskiemu władcy, który napisał na swoim Truth Social, iż „Leon powinien wziąć się w garść jako papież" i że nie zna się na międzynarodowej polityce.

Zna się, w rozmowie z prezydentem Izraela Izaakiem Herzogiem mówił bowiem o konieczności „otwarcia wszystkich możliwych kanałów dialogu dyplomatycznego, aby położyć kres trwającemu poważnemu konfliktowi z dążeniem do sprawiedliwego i trwałego pokoju", akcentując „znaczenie ochrony ludności cywilnej oraz promowania poszanowania prawa międzynarodowego i humanitarnego". W rozmowie z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, zapewniając go o swojej bliskości z narodem ukraińskim, wskazywał na pilną potrzebę zakończenia działań zbrojnych. W swoim pierwszym wielkanocnym orędziu *Urbi et Orbi* apelował: „Kto dzierży broń, niech ją złoży! Kto ma władzę rozpętywania wojen, niech wybiera pokój! (…) Nie pokój narzucany siłą, lecz budowany poprzez dialog! Nie budowany na woli panowania nad drugim, lecz na pragnieniu spotkania z nim!".

Ale kto dziś wysłuchuje papieży? Na pewno nie nawiedzony Pete Hegseth, amerykański sekretarz wojny, który zapatrzony w swego bossa „zamienił Pentagon w teatr świętej wojny. Na piersi ma wytatuowany Krzyż Jerozolimski, a na ramieniu napis «Deus Vult» – «Bóg tak chce» – zawołanie bojowe średniowiecznych krucjat. Co miesiąc organizuje nabożeństwa chrześcijańskie w audytorium Pentagonu. Prosił Amerykanów, aby modlili się «codziennie, na kolanach» o zwycięstwo militarne na Bliskim Wschodzie «w imię Jezusa Chrystusa». Podczas jednego z tych nabożeństw modlił się na głos, aby wojska amerykańskie zastosowały «przytłaczającą przemoc wobec tych, którzy nie zasługują na litość… Prosimy o to z ufnością i śmiałością w mocnym i potężnym imieniu Jezusa Chrystusa»". Militarny akolita szalonego Trumpa w imieniu Jezusa Chrystusa…

No, ale narcystyczny Trump nie byłby sobą, gdyby go nie przebił. Wkrótce potem, jak zganił papieża Leona XIV za jego krytyczne wypowiedzi na temat polityki deportacyjnej oraz napaści USA i Izraela na Iran, z typową dla siebie bufonadą umieścił na portalu Truth Social post, przedstawiając siebie w białej szacie ze świecącą dłonią na czole chorego mężczyzny, co przypomina obrazy religijne przedstawiające Jezusa uzdrawiającego chorych. Jakież to żałosne, gdy megalomania idzie w parze z głupotą! Jakież to porażające, kiedy odnosi się to do człowieka sprawującego najpotężniejszy urząd na świecie…

GRZEGORZ W. KOŁODKO

Fragment książki „Niebezpieczne bezpieczeństwo" wydanej przez Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, dostępnej w księgarniach od 19 czerwca. Śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl e9ac69a6d6

Minimum egzystencji

Lewica goni rząd do pracy

Wynagrodzenie wynikające z minimalnej stawki godzinowej będzie musiało być wypłacane najpóźniej do 10. dnia następnego miesiąca. Nowe przepisy przewidują również automatyczne naliczanie odsetek za opóźnienia w wypłacie pensji i surowsze kary dla pracodawców,

Rada Ministrów zaproponowała, by minimalne wynagrodzenie za pracę w 2027 r. wynosiło 4950 zł brutto, a stawka godzinowa – 32,30 zł. Propozycja zostanie przedstawiona Radzie Dialogu Społecznego, która ma 30 dni na wypracowanie wspólnego stanowiska. Aktualnie najniższa krajowa wynosi 4806 zł brutto, co oznaczałoby podwyżkę o zawrotne 144 zł, czyli o 3 proc. Oznacza to tyle, że wzrost płacy minimalnej pokrywa się z prognozowaną inflacją, a realna siła nabywcza pracowników zarabiających najniższe stawki nie wzrośnie.

Pomysł gilotynują związki zawodowe. Ich zdaniem płaca minimalna powinna utrzymywać odpowiednią relację do przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce. Dlatego wspólne stanowisko NSZZ „Solidarność", OPZZ i Forum Związków Zawodowych zakłada, że stawka minimalna powinna wynieść co najmniej 5200 zł brutto, czyli ok. 8,2 proc. więcej względem obecnej. Okoniem stają przedsiębiorcy, którzy narzekają na wysokie koszty pracy i straszą wzrostem inflacji, w razie gdyby ludowi pracującemu spadło więcej okruchów z pańskich stołów. Jeśli negocjacje między stronami zakończą się fiaskiem, decyzję podejmie rząd, który ustali wysokość minimalnego wynagrodzenia w drodze rozporządzenia.

Tymczasem na sejmowej tapecie są dwa projekty ustaw, które mają system naliczania płacy minimalnej ucywilizować. Rządowy, wymuszony unijną dyrektywą, i poselski Lewicy, który ma wywrzeć presję na rząd, bo ten wbrew pozorom do zmian się nie kwapi.

Polska do 2024 r. powinna była wdrożyć unijną dyrektywę w sprawie adekwatnych wynagrodzeń minimalnych w UE. Mowa o tzw. europejskiej pensji minimalnej. System oczywiście nie wprowadza jednej, równej stawki kwotowej dla całej Europy, ale nakłada na państwa członkowskie obowiązek stworzenia jasnych kryteriów ustalania wspomnianej płacy. Przepisy nakazują, aby rządy przy ustalaniu najniższej krajowej brały pod uwagę m.in. siłę nabywczą pieniądza, ogólny poziom wynagrodzeń i koszty utrzymania. Jako punkty odniesienia wskazano osiągnięcie co najmniej 60 proc. mediany wynagrodzeń brutto lub 50 proc. przeciętnego wynagrodzenia brutto w danym kraju. Wszystko po to, żeby zmniejszyć zjawisko ubóstwa pracowniczego i zapewnić pracownikom w UE godny poziom życia. Zamiast obecnie obowiązującej ustawy z 2002 r. ma powstać nowy akt prawny, który kompleksowo ureguluje te kwestie. Dlaczego powstały aż dwa? Wszystko rozbija się o kasę.

Na noże

Biznesowa wierchuszka skupiona wokół Tuska (organizacje pracodawców i Ministerstwo Finansów) zaakceptowała konieczność przyjęcia unijnej dyrektywy, ale się nie ucieszyła. Przez długi czas los tych przepisów był niepewny, ponieważ Dania wspierana przez Szwecję złożyła oficjalną skargę do TSUE, domagając się spuszczenia dyrektywy w kiblu. Oba kraje argumentowały, że Unia Europejska nie ma prawa ingerować w krajowe systemy ustalania zarobków. Wyrok TSUE definitywnie rozwiał te pretensje.

Za kształt przepisów rządowego projektu ustawy wdrażającej unijne wytyczne odpowiadało Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pod przewodnictwem minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk z Lewicy. Bruksela wskazała, że rządy powinny dążyć do sytuacji, w której ustawowe minimum odzwierciedla realną płacę zasadniczą, a nie sztucznie podbijaną premiami i resztą artefaktów konstrukcję. To, jak wyczyścić minimalne wynagrodzenie z rozmaitych składowych, pozostawiono krajowym ustawodawcom.

Pierwotna propozycja ministerstwa pracy zakładała, że do minimalnej jałmużny za robotę od 2027 r. nie będą wliczane m.in. premie, nagrody, dodatek funkcyjny i specjalny; krótko mówiąc, wszelkie bonusy. Miało to uregulować sytuację, w której doświadczeni pracownicy uprawnieni do licznych dodatków do wynagrodzeń, zarabiają podobne lub identyczne kwoty jak osoby dopiero rozpoczynające pracę. Pomysł uraził uczucia budżetowe ministra Domańskiego i sektora prywatnego. Podniosło się nieco sprzeczne z narracją państwa o eksplozji wzrostu gospodarczego larum o negatywnych skutkach dla finansów publicznych i systemu wynagrodzeń w przedsiębiorstwach. Ostatecznie w październiku 2025 r. koncepcja ewoluowała w kierunku etapowego wyłączania (w latach 2027–2029) poszczególnych składników z pensji minimalnej. Minister Dziemianowicz-Bąk, widząc opór liberalnego skrzydła koalicji, jeszcze na etapie wojenek międzyresortowych podpisała projekt poselski Lewicy, który praktycznie zdublował rządowe zapisy, ale uwzględnił punkty rozwleczone w czasie w ramach ustępstw. 11 czerwca 2026 r. został skierowany do dalszych prac w komisjach sejmowych. Rządowy papier – przykra sprawa – dostał czkawki na etapie Stałego Komitetu Rady Ministrów i wrócił do prac w resorcie pracy.

Na żyletki

Oba glejty przewidują większą ochronę osób pracujących na umowach cywilnoprawnych, którzy przez co najmniej trzy miesiące nie wypłacają wynagrodzenia pracownikowi. Taki manewr lub zaniżanie stawek za pracę będą zagrożone karą grzywny od 5 do 60 tys. zł lub ograniczeniem wolności. Projektowane przez Lewicę przepisy mają zagwarantować, że płaca minimalna będzie wynosić co najmniej 66 proc. przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej. Projekt rządowy bazuje na 55 proc.

Można zatem założyć, że oba projekty spełniają wymogi unijnej dyrektywy. Lewica złożyła dokument jako autonomiczną, krajową inicjatywę ustawodawczą mającą „uporządkować system wynagrodzeń", dzięki czemu mogła wpisać do niego własne, bardziej restrykcyjne zasady, bez rozbijania procesu na etapy, jak chciał tego rząd. Autorzy projektu poselskiego celowo nie odwołują się wprost do dyrektywy UE, ponieważ formalnie projekty poselskie nie służą do bezpośredniej implementacji prawa unijnego – bo to zadanie rządu.

Co ciekawe, poselski projekt ustawy uzyskał poparcie posłów PiS, Koalicji Obywatelskiej i PSL, którzy opowiedzieli się za dalszym procedowaniem zmian. Nic na tym nie tracą. Według szacunków Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej oraz ekspertów rynku pracy, najniższą krajową w Polsce zarabiają ok. 3,6 mln obywateli. Jeśli nie będą zbyt zmęczeni po robocie, na pewno z ciekawością prześledzą, czyje prace nad projektem postępują szybciej – rządu Tuska i Domańskiego, który woli nie sprowokować fali niezadowolenia biznesu przed kampanią wyborczą, czy Lewicy.

IDALIA DUBICKA

Marszałkowskie weto na darmową zupę dla dzieci

Włodek, dawaj papu!

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Oczywiście w takim momencie zawsze budzi się odpowiedzialność za budżet, śpiąca jak suseł przy ulgach dla bogatszych, wielkich kontraktach, dotacjach dla Kościoła i kolejnych państwowych zabawkach dla dorosłych chłopców. Przy dziecięcym obiedzie nagle trzeba wszystko policzyć dwa razy,

Dziećmi w Polsce zajmują się wszyscy, choć to grupa społeczna, że tak powiem, wymierająca. Ministra Barbara Nowacka niańczy dziatwę szkolną, odbierając jej komórki, ale czego się spodziewać po lokatorce Alei Szucha. Prawica pilnuje, żeby dziecko nie usłyszało w szkole niczego poza jedyną słuszną wersją historii, z której wyrasta polski patriotyczny ziemniak. Ten ziemniak potem głosuje. Liberałowie widzą w dziecku przyszłego konsumenta, najlepiej jeszcze elastycznego, mobilnego i wdzięcznego za praktyki bez wynagrodzenia. Kościół tradycyjnie troszczy się o duszę, czyli pilnuje, żeby dziecko nikomu nie mówiło.

W kampanii wyborczej dzieci są oczywiście najważniejsze. Politycy obiecują im bezpieczne szkoły, szczęśliwe dzieciństwo, zdrowie psychiczne, przyszłość bez lęku i rodzinę pod szczególną ochroną państwa. Dziecko z programu wyborczego jest wzruszające, tanie w obsłudze i niczego nie chce poza tym, żeby polityk mógł się nad nim pochylić. Prawdziwe dziecko ma tę wadę, że po kilku godzinach w szkole robi się głodne.

Z raportu banków żywności „Ukryty głód dzieci" wynika, że 364 tys. dzieci i nastolatków żyją w Polsce poniżej minimum egzystencji. To nie jest problem, który został dawno za nami – tylko całkiem współczesna Polska, z kredytami na 30 lat i politykami chwalącymi się 20. gospodarką świata. Aż 23,2 proc. badanych uczniów nie przynosi do szkoły drugiego śniadania, 15,3 proc. często albo zawsze bywa głodnych w domu, w drodze do szkoły lub już w samej szkole, a 2 proc. je obiad najwyżej raz w tygodniu – albo wcale. Trudno oczekiwać skupienia i dobrych wyników od dziecka, które zamiast na lekcji koncentruje się na pustym żołądku.

Banki żywności nazywają to głodem ukrytym – bo dziecko nie zawsze wygląda tak, jak głodne dziecko powinno wyglądać w wyobraźni sytego dorosłego. Czasem ma pełny brzuch, tylko zapchany byle czym: słodkim napojem, drożdżówką, batonem, najtańszą rzeczą z najbliższego sklepu. Czasem nie mówi nic, bo dzieci szybko uczą się, że bieda w domu jest sprawą wstydliwą, a proszenie o jedzenie w klasie potrafi przylgnąć do człowieka na długo. Czasem dzieli się z rodzeństwem albo oddaje swoją porcję komuś w domu, bo w biedzie dzieci dorastają szybciej, niż przewiduje podstawa programowa.

I właśnie na tym tle od jesieni leży sobie w sejmie projekt partii Razem o darmowych obiadach w szkołach. Nie jest to pomysł szczególnie skomplikowany ani nawet specjalnie radykalny – chyba że za radykalizm uznać przekonanie, że uczeń w publicznej szkole powinien raz dziennie dostać ciepły posiłek bez sprawdzania, czy jego rodzina zasłużyła już na zupę. Projekt kosztowałby około 6 mld zł rocznie. Tyle państwo musiałoby znaleźć, żeby głodne dziecko nie musiało udowadniać, że naprawdę jest głodne. Połowę tej kwoty – trzy duże bańki – nasze państwo wydało niedawno lekką rączką na dopłaty do paliw.

Największą zaletą takiego rozwiązania jest właśnie to, że nie trzeba urządzać dziecku małego przesłuchania z biedy. Obiad dostaje każdy, więc nikt nie stoi w osobnej kolejce, nikt nie jest „tym od darmowych", nikt nie musi liczyć, czy mama doniosła papier do OPS-u. Jedzenie w szkole powinno być tak zwyczajne jak ławka, zeszyt i kaloryfer zimą.

zapytać, czy samorządy dadzą radę, czy kuchnie są gotowe, czy ktoś nie zmarnuje jedzenia i czy przypadkiem nie skorzysta na tym dziecko z domu, w którym rodzice mogliby zapłacić. Jakby największą niesprawiedliwością w Polsce było to, że bogatszy uczeń zje tę samą zupę co biedniejszy.

Ustawa Razem jest oczywiście także elementem konkurencji na lewicy. Nie ma co udawać, że projekty ustaw rosną w sejmie jak szczypiorek na parapecie, podlewane wyłącznie troską o człowieka. Razem chce pokazać, że potrafi narzucać tematy, których Nowa Lewica przy rządowym stole nie umie albo nie chce dopilnować. Chce też postawić Czarzastego w sytuacji niewygodnej, bo trudno na poważnie mówić ludziom o lewicowości, a jednocześnie trzymać w chłodzie ustawę o obiedzie dla ucznia.

I bardzo dobrze. Od tego jest polityka, żeby czasem ścigać się nie tylko na stołki, nazwiska i obrażone miny, ale także na pomysły, które komuś naprawdę poprawiają życie. Czarzasty powinien więc podjąć rękawicę, zamiast chować ten projekt w proceduralnym półmroku i liczyć, że wszyscy o nim zapomną. Jeśli projekt jest niedopracowany, niech sejm go poprawi. Jeśli trzeba inaczej policzyć finansowanie, niech je policzy. Jeśli samorządy potrzebują czasu, kuchni i pieniędzy, niech państwo wreszcie powie to wprost, zamiast jak zwykle odkładać wszystko do następnej kampanii. W której postulat darmowego posiłku zapewne się pojawi. A ludzie są pamiętliwi, Panie Marszałku.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl e9ac69a6d6

Kraina łagodności

Czas nie oszczędza nikogo. Miller stał się dobrotliwy jak Kwaśniewski.

Kiedy trzy lata temu Aleksander Kwaśniewski promował swój wywiad rzekę, zatytułowany skromnie „Prezydent” – uwagę zwracał fakt, że w tym nibyrozliczeniowym dziele bohater mówi o ludziach wyłącznie dobrze. „Olek już taki jest” – powiedział mi wtedy jeden ze starych towarzyszy. Otóż Leszek taki nie jest. A jednak.

„Alfabet Millera” – rozmowa byłego premiera z Jackiem Prusinowskim – też przesycona jest tą wszechogarniającą życzliwością, u Millera nieco, przyznacie, zaskakującą. Gdzieniegdzie posuwa się ona moim zdaniem za daleko – jak w rozdziale, w którym broni Magdaleny Ogórek („Zdawałem sobie sprawę, że ona chce pracować w mediach i jeżeli otrzyma interesującą propozycję, po prostu ją przyjmie. Będę ją usprawiedliwiał, dlatego że nie miała innej oferty”)… Jednak generalnie robi to szczerze miłe wrażenie. Choć może to przeze mnie przemawia starcza łagodność.

Redaktor Prusinowski – dziennikarz, delikatnie mówiąc, nielewicowy, aktualnie zatrudniony w Kanale Zero – zadaje raczej niezaskakujące pytania:

czy Jaruzelski był dyktatorem, czy Kiszczak był zbrodniarzem, czy Kukliński był bohaterem, czy w telewizyjnym materiale ze słynnym gierkowskim „Pomożecie” były doklejone brawa… Ze wszystkich tych pułapek na postkomunistę Miller wychodzi tak, jak powinien to zrobić facet z jego życiorysem,

który już nie musi zabiegać o względy solidaruchów.

O Wojciechu Jaruzelskim mówi z najwyższym szacunkiem – czyli, żeby zacytować klasyka: „tak jak trzeba”. Miller opisuje generała jako „patriotę i człowieka, który największe ciężary musiał wziąć na siebie”; kogoś, kogo obecność „wszystkich ustawiała do pionu”, ale nie dlatego, że budził „strach”, tylko „raczej podziw i przede wszystkim respekt”. Zapytany wprost przez nieco już zniecierpliwionego dziennikarza: „To był dla pana autorytet i najważniejszy punkt odniesienia?”, Leszek odpowiada: „Oczywiście że tak. Podziwiałem i podziwiam jego drogę, niezależnie od tego, że popełnił błędy”.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

O Czesławie Kiszczaku Leszek mówi – wbrew wyraźnemu oczekiwaniu rozmówcy – że „na pewno nie był zbrodniarzem”. A kiedy Prusinowski naciska: „Został uznany za winnego zbrodni komunistycznej” – Miller odgryza się trafnie: „Winny zbrodni komunistycznej to wymysł paranoidalny”.

Stanowczo i odważnie broni stanu wojennego i na ukochany przez prawaków cytat z Andropowa, który w październiku 1981 r. mówił, że Polacy „napomykają” o bratniej interwencji, ale on jest przeciw – Miller odpowiada gen. Aczałowem, który miał dowodzić interwencją i incognito zwiedzał Warszawę, żeby się zorientować w teatrze działań wojennych, a także gen. Dubyninem, który powiedział, że bez stanu wojennego „nasze dywizje wkroczyłyby na terytorium Polski”.

Były premier broni też Edwarda Gierka: „Niewątpliwie to człowiek, który pchnął Polskę we właściwym kierunku najmocniej i najszybciej, jak mógł”. Bilans gospodarczy dekady ocenia „bardzo pozytywnie” – i wymienia: „zakłady pracy, bloki, na przykład cały Ursynów, drogi, szkoły, szpitale – to wszystko, co wtedy powstało, dalej służy Polakom”. Wyjaśnia też, że brawa były naprawdę głośne, a nie doklejone.

O Ryszardzie Kuklińskim, którego rehabilitację własnoręcznie zmajstrował, Miller wyraża się ostrożniej – ale niekompromitująco. Nie mówi wprawdzie – niestety – że był to zdrajca i tyle; ogranicza się do eufemizmu: „był człowiekiem, który złamał całkowicie przysięgę wojskową”. Nie mówi tak do końca wprost, że Amerykanie mu kazali rehabilitować Kuklińskiego – ale można to przeczytać między wierszami: „Dla mnie najważniejsze było to, że Polska na swojej drodze do NATO trafiła na pewną przeszkodę i tę przeszkodę trzeba pokonać”.

Na cokolwiek sugerujące pytanie „Dla pana był bohaterem?” – odpowiada wymijająco: „Na pewno ułatwił nam drogę do NATO”. I jeszcze udaje mu się przemycić tezę moim zdaniem absolutnie prawdziwą: „Radzieckie służby zorientowały się, że Kukliński pracuje dla Amerykanów, i zaoferowały mu bycie podwójnym agentem” – choć na pytanie, czy ta hipoteza jest wiarygodna, odpowiada beztrosko „nie wiem”. I raczej ironicznie dodaje, że Kukliński – który przez 10 lat sprzedawał najtajniejsze plany Sztabu Generalnego WP wrogowi za gruby szmal – „wyglądał na człowieka bardzo szczerego, który – jak sądzę – miałby szalone problemy, żeby kogoś oszukać”…

Leszek Miller – co odnotowuję z satysfakcją – nabrał też wyraźnego dystansu do swoich neoliberalnych błędów i wypaczeń z początku wieku. O Balcerowiczu mówi głównie krytycznie (choć znacznie mniej, niż na to zasługuje – ale to jest, jak już ustaliliśmy, taka uroda tej książki): że dla totalnej prywatyzacji była alternatywa w postaci „drogi jugosłowiańskiej, węgierskiej, czy czeskiej, gdzie konkurowały ze sobą przedsiębiorstwa i zakłady pracy o różnej formie właścicielskiej z dużym udziałem samorządów pracowniczych, gdzie były silne związki zawodowe”. W kilku miejscach wspomina o bezduszności balcerowiczowskiej polityki, „autentycznych tragediach”, o tym, że „ludzie niemalże z dnia na dzień tracili pracę” i że „zabrakło oglądania się na tych, którzy nie byli w stanie wytrzymać tempa zmian”. W sumie – jego bilans III RP wydaje się wyważony i dość sprawiedliwy. Oczywiście oczekiwałabym większej autorefleksji w sprawie nieustającej służalczości wobec USA, której Leszek był jednym z głównych aktorów – ale warto docenić, że nie ujmuje jej już w kategoriach moralnej słuszności, a jedynie strategicznego wyboru.

Co ciekawe – rozdział poświęcony Ukrainie jest także bardzo powściągliwy i skupia się głównie wokół wnuczki, która jest pół-Ukrainką i ma ukraińskiego chłopaka. O potrzebie pokoju jest znacznie więcej niż o banderowcach.

Oczywiście można się zastanawiać, czy to bardziej decyzja Leszka Millera – czy wydawcy, należącego do koncernu ZPR, właściciela rozlicznych mainstreamowych mediów, gdzie to, co Miller mówi o Ukrainie, po prostu nie przechodzi.

A Państwo jak sądzą?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

W Grodnie jest mój dom

Poczobut zawodzi wielbicieli

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Wsiadam do samochodu i jadę do Grodna. Ja mam nadzieję, że będzie tak jak zazwyczaj, kiedy przekraczałem granicę; że przekroczę tę granicę i wrócę do domu – powiedział po raz kolejny, tym razem w Radiu Białystok, uwolniony przez Baćkę na prośbę Jankesów Andrzej Poczobut.

Po czym dodał wzniośle: – Sytuacja jest niezwykle trudna. I te warunki działalności Związku Polaków są trudne. I to jest też przyczyna, dlaczego ja uważam, że muszę tam być i dlaczego ludzie czekają na mój powrót. Moim zdaniem i zdaniem działaczy Związku Polaków moja obecność na Białorusi wzmocni organizację, wzmocni ducha w ludziach. I to jest ważne dla Związku Polaków.

Poczobut wyjazd z Polski planuje zaraz po wakacjach i to nie jest przypadek.

– We wrześniu, przed zjazdem Związku Polaków, ja wrócę na Białoruś. Można różnie to oceniać i różnie może się to potoczyć, ale jestem dobrej myśli. Nie zgodziłbym się na wyjazd, gdybym nie dostał paszportu i nie miał zapewnienia, że będę mógł wrócić na Białoruś – to konkret rzucony na briefingu Wspólnoty Polskiej.

Bartosz Wieliński, zastępca Michnika w „GW” – ten, który przywiózł Poczobuta busikiem ABW do Warszawy z przejścia granicznego w Białowieży – pewnie się rozpłakał ze złości, kiedy ten postawił przy tym kropkę nad „i” i to w sposób raczej nieznoszący sprzeciwu: „Chciałbym wrócić do Grodna, w Grodnie jest mój dom”…

Ale to niejedyna porażka kolektywnego Zachodu w próbie zbudowania w Polsce skutecznej opozycji wobec Łukaszenki i jego modelu sprawowania władzy. 12 maja Paweł Łatuszka – były białoruski dyplomata w Polsce, lojalny przez lata wobec Mińska jako ambasador – poinformował na osobistym kanale YouTube, że pomoc finansowa Unii Europejskiej dla białoruskich opozycjonistów zmniejszy się o połowę. Czyli drastycznie: kwota wsparcia spadnie z 30 mln euro do 15 baniek. Taką informację Łatuszka miał uzyskać od wysokiego rangą unijnego urzędnika.

Nie opowiedział przy tym dlaczego, ale powód wydaje się łatwy do przewidzenia.

Unia – po cichu i mniej werbalnie niż USA – bierze się prawdopodobnie za normalizację stosunków z Białorusią. Trochę pod naciskiem Jankesów, ale bardziej z powodu poszczególnych państw członkowskich i jej rosnących w siłę partii antyestablishmentowych

w rodzaju chociażby niemieckiej AFD. One to z pragmatycznych, czyli paliwowych, względów odpowiadają się coraz głośniej za normalizacją stosunków z Rosją. I w drugiej kolejności z Białorusią, która potasem stoi.

Drugi przykład jest jeszcze bardziej bolesny dla przeciwników Republiki Białorusi i jej odwiecznego prezydenta. Od 11 do 19 maja odbywały się wybory do parlamentu białoruskiego na emigracji, tzw. Rady Koordynacyjnej. Głosowano na specjalnej platformie internetowej obsługiwanej w Warszawie i Wilnie.

O 80 mandatów walczyło 174 kandydatów z dziewięciu list wyborczych. Głosy oddało – uwaga – 2113 osób. Co nawet przy skali opresyjności aparatu państwowego na Białorusi świadczy raczej o mikroskopijnym zainteresowaniu Białorusinów – tak w ojczyźnie, jak i na obczyźnie – tymi wyborami.

Zwyciężyli w tym wyborach kandydaci wskazani przez Łatuszkę oraz Ruch „O Wolność”. Za nimi uplasowali się członkowie Europejskiego Wyboru, który – jak piszą komentatorzy – jest bliski poglądom Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego, emigracyjnego rządu pod wodzą prezydentki Swiatłany Cichanouskiej. W którym Łatuszka też gra zresztą pierwsze skrzypce.

Wybory olał Siarhiej Cichanouski, mąż Swiatłany, i kilku innych znanych białoruskich opozycjonistów. To pośredni dowód na to, że Andrzej Poczobut wyciąga właściwe polityczne wnioski – i że ten tekst nie jest inspirowany przez białoruskie KGB.

JMP

MÓŻDŻEK TYGODNIA

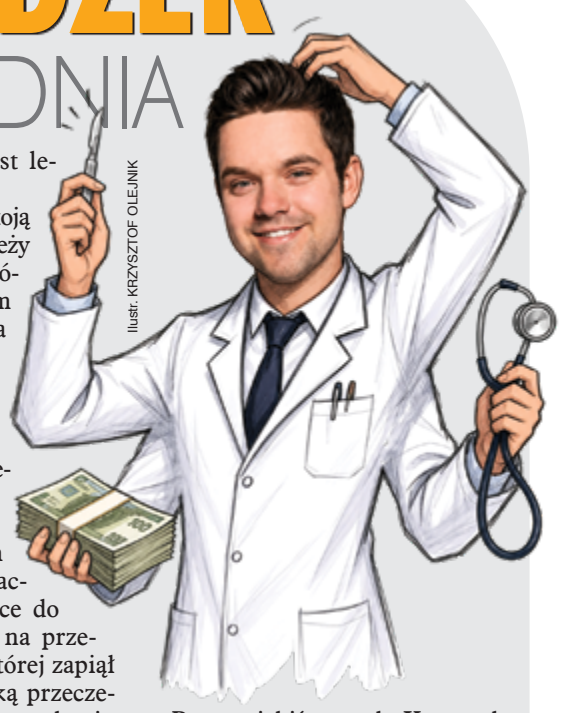
Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dawid Kacprzyk jest lekarzem przyszłości.

W sali zabiegowej stoją cztery łóżka, a na nich leży czterech pacjentów, którzy w sumie mają osiem nerek. Dr Kacprzyk ma cztery ręce, w których trzyma cztery lancety. W ciągu godziny przeprowadza jednocześnie cztery przeszczepy czterech nerek.

Po wybudzeniu pacjentów przepełnia ich wdzięczność. Dr Kacprzyk podaje dwie ręce do ucałowania, spogląda na przegub trzeciej ręki, na której zapiął Roleksa, a czwartą ręką przeczesuje sobie włosy. Po spotkaniu z pacjentami dr Kacprzyk idzie do kasy, podpisuje cztery faktury na 20 tys. za każdy przeszczep. Brutto.

Umiejętność bilokacji pozwala dr. Kacprzykowi przebywać również w szpitalu w Inowrocławiu, gdzie ma do zrobienia siedem zabiegów usunięcia zaćmy, trzy operacje ślepej kiszki oraz jedną aborcję, wszystko zgodnie z prawem i przez trzy kwadranse. Rachunek: pięć dych minus podatki plus zwrot kosztów.

I tak dzień za dniem: ranek w ranek, wieczór w wieczór, noc w noc. Operacje, konsultacje, wykłady czasem nawet w pięciu miejscach naraz.

Dr Kacprzyk sypia trzy godziny na dobę, tyle mu wystarcza, i to bez wspomagania farmakologicznego. Czuje się rześko. Odżywia się zdrowo. Zachowuje higienę osobistą i psychiczną. Porschem jeździ dla przyjemności, bilokacja bowiem pozwala mu na teleportację w tunelach czasoprzestrzennych.

Raz na jakiś czas dr Kacprzyk odpoczywa od tylu obowiązków zawodowych. Siada wówczas przy komputerze, loguje się w banku i przegląda historię swojego rachunku. Palcami dwóch rąk przebiera po klawiaturze, w trzeciej ręce trzyma filiżankę z kawą, a czwartą przeczesuje sobie włosy.

Tak dużo przychodów, a tak mało wydatków! – myśli i postanawia przelać pół miliona organizacji pozarządowej zajmującej się sierotami.

Dr Kacprzyk ma bowiem dobre serce. Jedno. Drugie nie ma czasu na dylematy moralne, ponieważ tłoczy krew po to, żeby cztery lekarskie ręce mogły pracować bez ustanku. Na jutro na przykład dr Kacprzyk zaplanował wycięcie ośmiu migdałków, usunięcie piętnastu cyst i transplantację dwóch wątrób. Do tego prawie 80 diagnoz do postawienia i nie wiadomo ile recept do wypisania.

Dobrze, że Dawid Kacprzyk jest lekarzem przyszłości.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl e9ac69a6d6

Naród, czyli rodzina z wrogiem

Między komórką i ojczyzną

Czy pamiętasz pierwsze lata komórek w Polsce? Centertel, wielki aparat, ciężki jak cegła. A nawet jak dwie. Był rok 1995. W roli „biznesmena" tamtych czasów prowadziłam firmę produkującą opakowania z kartonu. Wracając autem od klienta, zatrzymałam się przy spożywczaku. Na fotelu obok leżała moja cegła. Złapałam telefon i weszłam z nim do sklepu, ustawiałam się w dość długiej kolejce. Nie mogłam go zostawić w samochodzie, bo w tamtych czasach wszystko cenniejsze od gazety, widoczne przez szybę, z prawdopodobieństwem zbliżonym do pewności znikało. Z szybą, rzecz jasna, rozbitą.

W pewnej chwili telefon zadzwonił. Rozłączyłam połączenie, nawet nie podejmując rozmowy. Ale sam sygnał podziałał na zebranych jak alarm do szarży kawalerii. Czegóż ja się wtedy nie nasłuchałam: o chamstwie, buractwie, braku wychowania, pokazówce i nowobogackim prostactwie. Milczałam. Może nawet zarumieniona. Ze względów pragmatycznych opuszczenie miejsca w kolejce wydawało mi się jednak rozwiązaniem ekstremalnym. Dopiero gdy padła szczególnie dla mnie obraźliwa sugestia – pewnie rozumiesz czemu „szczególnie" – że wyglądam mu na chuja w garniturze, uznałam, że czas zakończyć ten społeczny eksperyment. Wycofałam się z wyczekanej pozycji. Zwiałam.

Wiem, dziś ludzie przed czterdziestką mogą nie uwierzyć w tę opowieść. Ale jeśli masz więcej lat, wiesz, że nie kłamię. A dziś? Każdy widzi, jak jest.

Oto przykład tego, jak radykalnie w krótkim czasie może zmienić się model kulturowy.

Rodzina

A co powiesz o innym modelu kulturowym: o rodzinie? Wielokrotnie słyszałaś i słyszałeś, że „jedyny naturalny model małżeństwa i rodziny" to związek kobiety i mężczyzny. Sprzedaje się nam to od dziecka jak prawdę objawioną. W rzeczywistości taka rodzina nie jest ani wieczna, ani uniwersalna, ani tym bardziej jedyna możliwa.

Świat aż pęka od form życia rodzinnego. Obok monogamii istnieją rodziny poligyniczne: jeden mężczyzna ma kilka żon. Były i bywają spotykane między innymi w społeczeństwach Afryki, na Bliskim Wschodzie i w części Azji. Są rodziny poliandryczne: jedna kobieta ma kilku mężów. Klasyczne przykłady znamy z Tybetu, Nepalu i części północnych Indii, zwłaszcza w wersji braterskiej; gdy mężami są bracia. Antropolodzy opisywali też małżeństwa grupowe: kilka kobiet i kilku mężczyzn tworzących jedną wspólnotę małżeńską i rodzinną.

Związki jednopłciowe obecne były w różnych epokach i miejscach na świecie: w Chinach i innych częściach Azji, w Afryce, w społecznościach rdzennych Ameryk. Współcześnie małżeństwa jednopłciowe są prawnie uznawane w blisko 40 państwach i jurysdykcjach świata oraz w ponad 20 państwach Europy. To i tak nie opisuje wszystkich form uznania związków. Osobna kategoria to związki partnerskie. W wielu państwach istnieją obok małżeństw albo zamiast nich, więc po ich doliczeniu mapa rodzinnej „naturalności" robi się jeszcze bardziej kłopotliwa dla kaznodziejów od jednego wzorca.

Są też ludzie, którzy wychowują dzieci bez ślubu. Są pary, które nie potrzebują sakramentalnej pieczęci. Są układy oparte na odpowiedzialności, codziennej trosce i wspólnym życiu. I właśnie to jest dla nich istotą rodziny: nie rytuał, nie czyjaś ideologia, lecz relacja.

Nacjonalizm

A oto jeszcze inny model kulturowy – nacjonalizm. Trochę to w polskich warunkach dziwny konstrukt, bo jak odwoływać się do pojęcia narodu – polskiego narodu, polskich genów, polskiej krwi – w sytuacji, kiedy w ostatnim tysiącleciu przez ten kraj przechodzili wszelacy najeźdźcy. Tatarzy – gwałcili, Prusacy – gwałcili, Szwedzi – gwałcili, Rosjanie – gwałcili i Niemcy, którzy także gwałcili.

Nacjonalizm to groźny model kulturowy. Ustanawia bowiem wyższość lojalności wobec własnej nacji. W wersji etnicznej zawsze produkuje podejrzliwość, ksenofobię i wrogość. Nie jest niewinną miłością do miejsca, w którym człowiek żyje – jest kulturową maszyną do produkcji „my" i „oni".

Naród – ta wielka rodzina złożona głównie z ludzi, których nigdy nie spotkamy – zostaje opowiedziany tak, by wyglądał na odwieczny, święty i stale zagrożony. A kiedy wspólnota ma być święta, zaraz znajdzie się ktoś nieczysty: obcy, zdrajca, migrant, mniejszość.

Owszem, nacjonalizm potrafi mobilizować solidarność, zwłaszcza wobec realnej napaści. Problem w tym, że częściej żywi się zagrożeniem urojonym. Psychologia społeczna od dawna pokazuje, że samo podzielenie ludzi na grupy uruchamia faworyzowanie „swoich". Badania porównawcze pokazują zaś, że etniczne rozumienie narodu idzie w parze z silniejszą ksenofobią. To nie przypadek – to mechanizm.

Dlatego nacjonalizm jest politycznym wirusem. Jeśli jeden obóz zaczyna mówić językiem narodowej krzywdy, oblężenia i oczyszczenia, drugi szybko odpowiada tym samym. Zaczyna się od pieśni, flag i łez nad historią, a potem pytaniem, kto tu naprawdę jest „nasz", a kto „obcy". Kończy się natomiast faszyzmem. Faszyzm nie spadł z Marsa. Wyrasta z nacjonalizmu doprowadzonego do autorytarnej gorączki: wodza, hierarchii, nienawiści do pluralizmu i tropienia „antynarodu". Widzisz to? Ja widzę. Nacjonalizm zawsze potrzebuje wroga. Gdy go nie ma, musi go sobie wyprodukować.

Rys. TOMASZ WIATER

Panta rei

Tak jak przez ostatnie 30 lat zmieniło się nasze myślenie o telefonie w przestrzeni publicznej – z „chamstwa" w normę – tak samo zmieniają się inne „święte prawdy". To, co przez chwilę wydawało się oczywiste, po czasie okazuje się tylko obyczajem podniesionym do rangi natury. A gdy ktoś mówi: „tak było zawsze", warto zapytać: gdzie dokładnie, u kogo i od kiedy?

Bo bardzo często za słowem „naturalne", za słowami „nasz odwieczny wróg", a także za hasłami „Bóg, honor i ojczyzna" kryje się model kulturowy ludzi, którzy pomylili własną ideologię, przekonanie albo zabobon z prawem do narzucania innym swojej woli. Najpierw mówią: „tak jest od zawsze". Potem: „tak musi być". A na końcu: „kto myśli inaczej, jest wrogiem".

I właśnie dlatego społeczeństwa tak łatwo wpadają w kolejne dogmaty. Kiedyś o kulturze posługiwania się telefonem. Dziś o rodzinie i o „jedynie słusznej" sprawie narodowej. A jutro...? Jakie dogmaty będą nam narzucane jutro? Z jakich kulturowych konstrukcji urodzą się nowe „świętości", które będą udawały wieczną, naturalną, jedynie słuszną normę?

W każdym razie wszystko płynie. Starajmy się, żeby płynęło we właściwą stronę.

ANNA GRODZKA

GADMAN

Wersalu w polskich internetowych salonach politycznych nie będzie.

Bo króluje tam naziopolo. Czysto polska doktryna odstraszania. Polegająca na ciągłym straszeniu polskiego ciemnego ludu wyborczego i wywoływaniu jego nienawiści do podsuwanych mu wrogów Polski i Polaków.

Wszystko w celu zapewnienia Polkom i Polakom poczucia przyszłego bezpieczeństwa narodowego, szczęśliwego życia w przyjaźni i pokoju.

A także nadziei, że po chrzcie w obrządku naziopolo Polska będzie rosła w siłę. Znów stanie się wielka i zajmie należne jej miejsce wśród światowych mocarstw.

Naziopolo przeznaczone jest dla prawdziwych Polaków, którzy tworzą prawdziwie polski Naród. Na pohybel obcym narodom i narodowym zdrajcom kalającym dobre imię polskiego Narodu.

O tym, kto aktualnie jest zdrajcą i zagrożeniem dla prawdziwie polskiego Narodu, decyduje hejt kapłanów naziopolo mnożony przez boty i algorytmy.

Kiedyś o tym, kto jest „Żydem" w Luftwaffe, decydował marszałek Hermann Göring. Ale robił to poufnie. Teraz internetowy hejt naziopolistów jest publiczny. Znany wszystkim chętnym i przypadkowo zaglądającym.

Karuzela strachów

Doktryna naziopolo nie powstała dzisiaj ani wczoraj. Jeszcze w minionej dekadzie wielki poeta Jan Wołek celnie wyczuł to Narodu polskiego rozedrganie. I jak na wieszcza przystało, prorocze słowa napisał:

„Trwoga, ludzie, wielka trwoga
Trzeba nam wyznaczyć wroga
Bo inaczej, Panie, Pany
Same się powyrzynamy".

Można by rzec, że ten Wołek to taki nowy Wernyhora, ale dzisiaj lepiej tak nie pisać ani nie mówić głośno. Bo tamten Wernyhora to Ukrainiec był, a wedle dzisiejszych ustaleń kapłanów naziopolo każdy Ukrainiec już banderowcem jest. Zgodnie z nieśmiertelną doktryną barejowską: „To złodziej! I pijak, bo każdy pijak to złodziej!".

Bo w naziopolo nieważne są fakty. Liczą się przede wszystkim odczucia, wrażenia i podejrzenia. No i skuteczność wywoływanego strachu. Dlatego nieważne jest, że Bohdan Starzyński, znany jako zabójca Stefana Bandery, też był Ukraińcem, a jego siostry łączniczkami w UPA. On przeszedł

SŁOWO CZERWONE

Polska biała tylko zimą

Głupota ksenofobii

Wraz z migracją rośnie poczucie zagrożenia. Lęk ten potęgują media, które chcąc nie chcąc, podsycają nastroje ksenofobiczne, często oparte na zupełnie fałszywych teoriach. Największy strach budzą ludzie o ciemnej karnacji, muzułmanie, imigranci z Południa. Straszy się nas, że będą nam narzucać swoje obyczaje i swoją kulturę. Tymczasem muzułmanie nie piją, a nie słyszałem, żeby któryś nakłaniał Polaków do abstynencji. Jedyna grupa religijna, która stara się o nasze nawrócenie, to świadkowie Jehowy, ale oni nie są imigrantami.

W Hiszpanii rząd niedawno zalegalizował pobyt ok. pół miliona cudzoziemców – z głównie z Afryki i Ameryki Południowej. Znane są sceny, kiedy to hiszpańscy rolnicy pomagają czarnym imigrantom dostać się na łodziach do Hiszpanii. Ci ludzie są dla nich bezcenni, bo po zmianach klimatycznych tylko oni są w stanie pracować w polu mimo ogromnych temperatur. Mają też tę zaletę, że godzą się na stosunkowo niższe płace.

Ostatnio media nagłośniły sprawę Hindusa, który zabił w Wielkiej Brytanii Polaka. Innymi słowy, obywatel brytyjski pochodzenia hinduskiego zabił obywatela brytyjskiego pochodzenia polskiego. Sprawę nagłośnił Donald Trump, który grzmiał, że Europa ginie z powodu masowej imigracji. Jednak ten atak na społeczność hinduską okazał się kompletnie nietrafiony. Prawie dwumilionowa mniejszość deklarująca hinduskie pochodzenie jest całkowicie zintegrowana. Są to zwykle ludzie dobrze zarabiający, mówiący znakomicie po angielsku, z kulturą demokratyczną wyniesioną z wzorowanego na brytyjskim indyjskiego systemu edukacyjnego. Zarówno Trump, jak i nasi rodzimi propagatorzy rasizmu i nagonek na mniejszości etniczne trafili kulą w płot.

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ostatni przypadek brutalnej napaści Sudańczyka na obywatela Irlandii Północnej, który wywołał rasistowskie rozruchy podsycane przez tamtejszą skrajną prawicę, też nie był wynikiem masowego napływu obcokrajowców z Południa. Jest faktem, że sudański morderca uzyskał nadzwyczajne łatwo azyl, ale odsetek imigrantów w Irlandii Północnej to zaledwie 3 proc. A miejscowe społeczności imigranckie surowo potępiły napastnika.

W Polsce imigracja nie jest masowa. Największe problemy policja ma nie z imigrantami z Południa lecz ze Wschodu. Większość zagranicznych grup przestępczości zorganizowanej pochodzi z krajów rosyjskojęzycznych. O proporcjach świadczy fakt, że policja rozbiła w ubiegłym roku 157 gangów, w tym 131 polskich, 20 międzynarodowych, w tym 6 rosyjskojęzycznych. Nie ma u nas zorganizowanej przestępczości wśród imigrantów z krajów Globalnego Południa.

Dlatego wszystkie tradycyjne społeczeństwa zawsze dążyły do tego, aby młodzi mężczyźni jak najwcześniej zawierali małżeństwa i mieli dzieci, co uczy ich odpowiedzialności i pozwala im jednocześnie znaleźć ujście dla nadmiaru testosteronu. Ten fakt to również powód, dla którego

kraje zachodnioeuropejskie zezwoliły na imigrację całymi rodzinami. Szwajcaria przez długi czas stanowiła wyjątek, ponieważ nie zezwalała imigrantom na osiedlanie się wraz z żonami i dziećmi, aż porównanie statystyk przestępczości z sąsiadami wykazało, że to błąd.

Szwajcaria zdecydowała się pójść drogą krajów sąsiednich – a statystyki przestępczości natychmiast spadły do średniej europejskiej.

Zdecydowana większość imigrantów w Polsce przybyła do kraju w pełni legalnie. Osoby przebywające w naszym kraju nielegalnie stanowią niewielki ułamek procenta wszystkich mieszkających tu cudzoziemców. Sprowadza ich głównie biznes szukający brakujących, często tańszych rąk do pracy. Największym sukcesem jest imigracja z Ukrainy. Pracujący u nas Ukraińcy są zwykle ubezpieczeni, i to dzięki ich składkom nasz system ubezpieczeniowy przetrwał. Pełnej integracji, do której dążą państwa europejskie, sprzyja równe traktowanie.

Jak wynika z raportów policyjnych, udział przestępstw popełnianych w Polsce przez cudzoziemców jest niewielki i wynosi od 3 do 4 proc. ogółu popełnianych przestępstw. Popełniają je głównie ludzie ze Wschodu, a nie z Południa. A zatem straszenie „czarnym ludem" nie ma sensu, a rozpad Związku Radzieckiego spowodował szerzenie się przestępczości zorganizowanej w krajach byłego Sojuza. Odpryski tego zjawiska notujemy i u nas.

Imigranci nie tylko podejmują prace, których Polacy nie chcą wykonywać, ale rodzą więcej dzieci. Te dzieci trafiają do polskiego systemu szkolnego i wyrastają na polskich patriotów. Dzięki imigracji naród może nie wyginie z powodu niskiej dzietności. Będzie może tylko nieco mniej biały. W myśl hasła „Polska biała – tylko zimą".

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl e9ac69a6d6

Naziopolo rządzi!

To przestaje być śmieszne, kiedy polityczni idioci traktują je poważnie.

na służbę KGB, choć urodził się jako obywatel II Rzeczpospolitej.

Polskim obywatelem na pewno nie był gensek KPZR Nikita Chruszczow. Był niewątpliwym Ukraińcem, a pomimo tego ucieszył się na wieść o zabiciu Stefana Bandery.

Dziś banderowcy/Ukraińcy wysunęli się na czoło największych wrogów polskiego Narodu, wyznaczanych przez kapłanów naziopolo. Nimi dziś trzeba straszyć zdefiniowany przez eurodeputowanego Jacka Kurskiego polski ciemny lud wyborczy.

Zdetronizowali oni poprzednio lansowanych wrogów – roszczeniowych, niepracujących Ukraińców. Pławiących się w polskim socjalu, jak pączki w maśle. Tacy Ukraińcy nie przyjęli się w roli raka toczącego zdrowy polski Naród. Bo nawet ciemny lud codziennie widzi Ukraińców masowo pracujących w Polsce. A każdy, kto otarł się choć trochę o polski socjal, wie, że brzmi to jak oksymoron.

Za to już straszak w postaci banderowców/Ukraińców okazał się wyjątkowo skuteczny. Uwiódł dziś nawet najwyższych przywódców polskiego Narodu.

Tak skutecznymi nie okazali się nawet wyznaczeni do tego antypolscy Żydzi. Choć wcześniej, w wielowiekowej historii Polski, sprawdzali się w tej roli znakomicie.

Totalną klęską naziopolo skończyło się granie ideologią gender, wymawianą z obca „dżęder". Tamten gender spłynął po polskim Narodzie jak po gęsi. Podobnie jak niedawno robienie straszaka z zabójczej oze-sroze.

Skuteczniejsza w straszeniu polskiego Narodu była ideologia LGBT. Jednak kiedy realni reprezentanci LGBT zaczęli publicznie otwarcie bronić swej godności, to okazało się, że nie taki diabeł straszny, jak go faszyści malują. Zwłaszcza kiedy okazało się, że te środowiska są też licznie reprezentowane w polskim Kościele kat. Nawet wśród hierarchów.

Równie skutecznymi straszakami byli kiedyś komuniści i postkomuniści. Straszyli nimi solidarnie liderzy PiS i PO i ich media.

Ciemny lud kupował to, dopóki nie zorientował się, że

represje wobec złej komuny nie dotyczą elit władzy i finansów. Bo te czujnie pozapisywały się wcześniej do przeróżnych PO-PiSów. Obrywali za to ludzie z ludu. Zwykle uczciwi, ideowi, kiedyś dobrze dla Polski pracujący, którzy nie potrafili się potem wyprzeć swych młodzieńczych ideologii.

Najbardziej efektywnymi strachami dla polskiego ludu okazali się wymyśleni przez naziopolo nielegalni migranci. Ale tylko ci islamscy i koniecznie kozojebcy. Bez kozy islamski dżihad niestraszny był prawdziwym prawicowym polskim patriotom.

Wojna domowa, na gesty i słowa?

Wojna medialna o sens odebrania ukraińskiemu prezydentowi Zełenskiemu polskiego Orderu Orła Białego pokazała potęgę politycznych i medialnych wpływów naziopolo.

Trwająca nadal debata kolejny raz udowodniła, że nieważne są w niej fakty, przyczyny, konsekwencje podjętych decyzji. Liczą się wrażenia i podejrzenia debatujących.

A najmniej ważne, jak zareagują na nią Ukraińcy, ich państwo i sojusznicy w wojnie z Rosją.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Najważniejsze w tym sporze jest, któremu z polskich liderów podjęta przez niego decyzja najbardziej potem zaszkodzi. Którego z polskich walczących ze sobą przywódców politycznych ubrudzi najbardziej. Która z walczących polskich partii politycznych dostanie w internecie największy hejt i której potem poparcie wyborcze najbardziej spadnie. A która partia wzmocni tym swą popularność.

Jak zwykle w takiej wojnie domowej podziały są niczym po uderzeniu siekierą. Nieważne, że jesteś krytyczny wobec UPA. Musisz popierać odebranie polskiego orderu, bo inaczej zostaniesz „opcją banderowską".

A taką najlepiej przebić widłami. Wirtualnymi w internecie. Kulturalnie, pokojowo. Bo my Polacy lubimy sielanki.

Skoro jednak nie popierasz odebrania orderu, to musisz być nie-Polakiem. Od słowa do słowa zaczyna się żywiołowa lustracja narodowa.

Najpierw wirtualna w internecie. Rychło przenosi się do realu.

W sejmie niechciany już w żadnej partii politycznej, oskarżany o korupcję pan poseł Janusz Kowalski wzywa do lustracji polskich elit politycznych, urzędników państwowych i samorządowych. Sprawdzania ich pod względem czystości polskiego pochodzenia. Bo polski polityk i urzędnik ma mieć taką narodowość. Niczym aryjskość obowiązującą w III Rzeszy.

Banderowcy i onuce

Zaczyna się publiczne donoszenie na nieczystość narodową. Okazuje się, że Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz jest pół-Rosjanką z pochodzenia. Czyli ukrytą ruską onucą. Kiedy opcja banderowska już się ogra, znudzi, to naziopolo zagrać może ruskimi onucami Jako taką ruską onucę demaskuje premiera Leszka Millera w tygodniku „Sieci", organie prasowym PiS, jego publicysta Bronisław Wildstein. Kawaler Orderu Orła Białego i członek kapituły tegoż orderu. I wzywa polską prawicę, aby nie zwiódł jej antybanderyzm i antyukraińskość prezentowane przez byłego premiera. Bo jego antybanderyzm jest udawany. Nie może czynić Millera „autorytetem polskiej prawicy".

Ponieważ w polskim internecie wszystko można już opublikować, to pojawiły się informacje, że wnuczka premiera Millera jest pół-Ukrainką, czyli naprawdę genetycznie banderówką.

Ale to nie koniec tej spontanicznej lustracji. Powszechnie wiadomo, że premier Tusk to prawie Niemiec. Nie każdy jeszcze wie, że pan eurodeputowany Grzegorz Braun też ma żydowskie pochodzenie.

Bliski mu ideowo poseł Wacław Szewczyk publicznie uważa byłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego za lewaka prezentującego ukraińską opcję. Ale to nic dziwnego, przecież Kaczyńscy mają w sobie ukraińskie geny ze strony babci spod Odessy. Ukraińscy kuzyni byli wszak obecni na pogrzebie polskiego prezydenta. Skoro Lech Kaczyński miał wedle posła Konfederacji takie podejrzane geny, to co z genami jego brata, prezesa Jarosława? Też ukryta opcja ukraińska/ banderowska?

Bezsprzecznie Anna Walentynowicz, ikona NSZZ „Solidarność", była Ukrainką, siostrą żołnierza UPA. Czyli ukrytą banderówką. Choć może też być uznana za ruską onucę, skoro jej ojciec był żołnierzem Armii Czerwonej.

Również Marian Walentynowicz, twórca arcypolskiego Koziołka Matołka może być lustrowany jako ukryta opcja rosyjska, bo tam się urodził.

Polskie elity polityczne i medialne robią ten cyrk, bo dostrzegły, że zamiast tworzyć politykę dla rolników, producentów rolnych, robotników, małego, średniego biznesu, pracowników najemnych – łatwiej jest zwabić wyborców wielkim wizjami dla Polaków. Łatwiej jest połechtać godność i ambicje Narodu niż stworzyć sprawną, publiczną służbę zdrowia.

Grają zatem to naziopolo. Bo przecież „my otwieramy oczy niedowiarkom! Patrzcie – mówimy – to jest nasze, przez nas wykonane, i to nie jest nasze ostatnie słowo!"…

PIOTR GADZINOWSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ 31-letni lekarz z miasta Łodzi wprowadził nowatorski system rozliczeń z pacjentkami. Zamiast nudnych druczków za recepty na psychotropy przyjmował płatność w naturze. Prokuratura, pozbawiona polotu i wyobraźni, nazywa to korupcją seksualną, choć mogło to być po prostu bardzo wnikliwe badanie ginekologiczne mające ustalić, czy pacjentka rzeczywiście wymaga uspokojenia. Przy okazji doktor „wyprodukował" lewe recepty na milion złotych, co dowodzi, że w polskiej służbie zdrowia pieniądze leżą w aptece, trzeba tylko umieć je podnieść. Karierę uzdrowiciela przerwała policja, zatrzymując go za kółkiem po mefedronie. Czekamy na proces i beatyfikację.

▮ 57-letnia patomorfolożka Magdalena H. postanowiła zaoszczędzić na utylizacji i urządziła sobie na działce prywatne mauzoleum. Nowi właściciele posesji, zamiast wymarzonego tarasu, wykopali 29 ludzkich płodów oraz hałdę medycznego złomu w postaci szkiełek i parafinowych bloczków. Prokuratura na Podkarpaciu, gdzie każdy embrion ma niemal prawa wyborcze, oskarża lekarkę o zbezczeszczenie zwłok i porzucenie niebezpiecznych odpadów. Za to drugie grozi jej aż 12 lat więzienia – najwyraźniej w polskim prawie martwy płód jest znacznie groźniejszy dla otoczenia niż żywy prokurator.

▮ 16-latek z Krakowa wyhodował sobie w terrarium żmiję lewantyńską. To bydlę dysponuje jadem skuteczniejszym od cyjanku, a jego posiadanie w Polsce jest równie legalne co handel uranem na bazarze. Gdy gadzina w końcu dziabnęła swojego karmiciela, państwo polskie rzuciło się na ratunek. Sprowadzono surowicę z Monachium, angażując lotnictwo i taksówki. Chłopak żyje, co jest niewątpliwym triumfem medycyny nad zdrowym rozsądkiem. O dalszych losach żmii nic nie wiadomo. Szkoda – to jedyna postać w tej historii, która od początku do końca zachowała się logicznie i zgodnie ze swoim charakterem.

▮ W warszawskim jeziorku Balaton – które z prawdziwym Balatonem łączy głównie nazwa i równie mętna woda – 57-letni Ukrainiec złowił suma giganta. Ryba ważyła 40 kg i miała 170 cm długości. Pech wędkarza polegał na tym, że sum akurat korzystał z ustawowego okresu ochronnego, co w Polsce jest świętsze niż niedziela niehandlowa. Wędkarz doczekał się wizyty policji i wyroku: nakazu opuszczenia kraju i pięcioletniego zakazu wjazdu do strefy Schengen. Ryba jednak przeżyła. Pod okiem policji została wypuszczona do „jednego z warszawskich akwenów". Więcej szczegółów brak.

▮ Na warszawskim lotnisku Okęcie celnicy udaremnili import tajskiej radości ukrytej w puszkach z mandarynkami. Zamiast nudnej owocowej pulpy w 180 opakowaniach znaleźli 47 kg marihuany o wartości ponad 2 mln zł. Funkcjonariusze, zamiast skosztować egzotycznego deseru, oddali towar prokuraturze. Najwyraźniej w Polsce mandarynki mają być kwaśne, a obywatele trzeźwi i smutni, by łatwiej było im przełknąć krajową rzeczywistość.

▮ W Łopusznie pod Kielcami 29-letni ogrodnik amator postawił na samowystarczalność. W domowym namiocie hodował konopie, grzyby halucynogenne i haszysz. Policja, czujna jak zawsze, gdy ktoś próbuje być szczęśliwy bez akcyzy, zlikwidowała tę domową aptekę. Chłopakowi grozi 10 lat więzienia, co dowodzi, że w tym regionie jedyną legalną formą odlotu pozostaje żarliwa modlitwa lub tania wódka. Uprawa roślin poprawiających humor bez zgody biskupa i ministra to wciąż w Polsce zbrodnia gorsza niż kradzież państwowej dotacji.

▮ Prokuratura w Siedlcach prowadzi śledztwo w sprawie radosnej twórczości matematycznej, do jakiej doszło podczas II tury wyborów prezydenckich w 2025 r. Zarzuty usłyszały już 24 osoby z obwodowych komisji wyborczych, w tym ich szefowie i zastępcy, z których połowa przyznała się do winy. Śledczy zarzucają im nierzetelne liczenie głosów i preparowanie protokołów, co w ich opinii mogło naruszyć interesy Karola Nawrockiego lub Rafała Trzaskowskiego. Owa urocza alternatywa „lub" stanowi szczytowe osiągnięcie prokuratorskiego instynktu przetrwania. Pozwala ona bowiem ścigać zbrodnię bez ryzyka, że któryś z panów pretendentów poczuje się niedopieszczony lub nadmiernie skrzywdzony. To klasyczny przykład polskiej sprawiedliwości: ścigamy fałszerzy tak, aby akt oskarżenia był bezpieczny dla oskarżyciela, niezależnie od tego, która partia akurat trzyma klucze do gabinetów.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

▮ Nad Krakowem, Warszawą i Gdańskiem przeleciały prawie 2 mld zł w postaci trzech myśliwców F-35 ochrzczonych dumnym mianem „Husarzy". Minister Kosiniak-Kamysz z rozbrajającą szczerością ogłosił, że skoro podatnicy za to zapłacili, to mają prawo sobie popatrzeć. Obiecano nam w Ameryce 32 takie maszyny, z których każda potrafi być niewidzialna dla radarów, choć niestety pozostaje boleśnie widoczna w budżecie państwa.

▮ Polska Grupa Górnicza płaci swoim poddanym za to, żeby raz na zawsze dali sobie spokój z fedrowaniem. 29-letni górnik Mateusz Moskwa przytulił 170 tys. zł odprawy w zamian za dożywotni zakaz zbliżania się do kilofa. To genialny układ: państwo płaci fortunę, by obywatel przestał robić to, do czego i tak dopłacało mu przez lata. Pan Mateusz, zamiast wdychać pył, fotografuje teraz wesela, zarabiając trzy razy tyle co pod ziemią. Do końca 2026 r. na podobną wolność ma zostać wykupionych jeszcze kilka tysięcy fedrujących darmozjadów.

▮ Gigantyczny kurnik nieboszczyka Gołębiewskiego (Hotel Gołębiewski w Pobierowie, największy nad Bałtykiem) zaczął mielić turystów. Na razie udostępniono mniej niż połowę z ponad tysiąca pokoi, ale ceny już są w pełnym rozkwicie: od 330 euro za dobę. Niemieccy hotelarze, którzy po swojej stronie granicy biorą za nocleg nędzne 150 euro, nazywają nasze stawki utopijnymi. Widocznie zachodni sąsiedzi nie rozumieją, że polski luksus musi kosztować dwa razy tyle, co ich ordynarny porządek.

▮ Poczta Polska postanowiła przeskoczyć kilka epok i przesiąść się na wodór. Podpisano umowę na testowanie rowerów wodorowych z firmą Groclin SA, co ma być pierwszym takim wyczynem w naszej części Europy. Wyselekcjonowani listonosze – zapewne ci, których dyrekcja lubi najmniej – będą teraz sprawdzać, czy te maszyny są szybkie, zwrotne i czy nie zamieniają doręczyciela w mobilną wersję sterowca Hindenburg. Dotychczas wodór kojarzył się nam głównie z bombą, która potrafi wyparować miasto, albo z wielkim pożarem na niebie. Teraz ma służyć do dowożenia wezwań z sądu i gazetek z promocją na schab. To doprawdy wzruszające.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy lokalnej i zostały wybrane jako potencjalnie interesujące dla szerszej opinii publicznej. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności prawnej, cywilnej ani faktycznej za ich ewentualną nieprawdziwość, nieścisłość lub niezgodność z rzeczywistością.

eprasa.pl e9ac69a6d6

Filozofia pustej butelki

Jak próba zwrotu opakowań doprowadziła mnie do pytania o sens życia

Przed kupowaniem napojów w kaucjonowanych butelkach broniłam się tak długo, jak to było możliwe. Im bardziej w okolicznych sklepach pojawiały się napoje w butelkach z kaucją, tym bardziej wybierałam te ze starych zapasów, za które kaucji jeszcze nie musiałam płacić. Nawet kosztem kupowania nie tego, co chciałam, ale tego, co było w miarę podobne – byle tylko bez kaucji. Wytrzymałam prawie do końca maja, jednak gdy wreszcie wyczerpały się stare zapasy, musiałam wreszcie i ja zajrzeć w ślepia bestii. Uzbrojona w torbę z pustymi opakowaniami ruszyłam po raz pierwszy, by zwrócić te butelki i odzyskać moje pieniądze.

Rys. WIDGET

Tusk, oddaj moje cztery złote

W pobliskiej Żabce butelkomat akurat był przepełniony, a pan ekspedient oznajmił, że teraz nie ma czasu wymienić zasobnika, bo jest sam na zmianie, bo koleżanka nie przyszła, bo jest chora, a on ma teraz dużo klientów i nie może się oderwać, no i w ogóle żebym przyszła z tymi butelkami kiedy indziej.

W Biedronce na automacie wisiała kartka jak wyjęta z filmu „Miś": „Przepraszamy. Butelkomat chwilowo nieczynny"... – Zepsuł się – poinformowała mnie pani ekspedientka. Pomyślałam, że to dobrze, że Biedronka ma tyle placówek w całym kraju, bo dymać do Wrocławia z ośmioma butelkami po mineralnej to by mi się nie chciało.

Idę więc do Lidla. Tu butelkomat jest czynny, co widać już z daleka po kolejce jak z najlepszych lat PRL. Jakaś godzinka stania będzie, biorąc pod uwagę, że w kolejce ustawiło się pewnie ze 20 osób, z których każda jest objuczona workami zawierającymi po co najmniej kilkadziesiąt butelek. Zrezygnowałam i wróciłam do domu, postanawiając pilnować, kiedy naprawią automat w Biedronce – bo najbliżej domu.

Udało się dopiero po kilku dniach. A gdy już go naprawiono, to natychmiast pojawiła się kolejka. Wzięłam więc moje osiem butelek po mineralnej i karnie się w niej ustawiłam, gotowa tym razem poświęcić czas, by jednak odzyskać moje cztery złote.

Kiedy butelkomat już połknął to, co mu wrzuciłam, zazgrzytał, zacharczał i wypluł kwitek z kodem kreskowym na odbiór moich czterech złotych, to wydawało mi się, że sukces jest tuż, tuż. Tylko zrobić zakupy, zeskanować tego kwitka przy kasie i w ten sposób odzyskać kwotę zainwestowaną w butelki. Nic z tego! Czytnik kasy okazał się zupełnie obojętny na kod kreskowy z kwitka.

Zapytałam znajomą ekspedientkę, o co chodzi.

– A teraz pani oddawała butelki? – zapytała. Potwierdziłam, więc wyjaśniła: – To trzeba poczekać, bo ten paragon musi się zarejestrować w systemie i dopiero wtedy będzie pani mogła wypłacić. To w przyszłym tygodniu niech pani spróbuje.

Tak więc niewydolny system nie wypłacił mi moich czterech złotych. Wina Tuska, wiadomo.

Koszty jawne, koszty ukryte

Wracałam do domu i czułam, jak narasta we mnie wkurw. Bo niby prosta rzecz, a jednak we współczesnym świecie wrzącym od technicznej doskonałości niesamowicie trudna do załatwienia.

I nie dość, że płacimy kaucję, to jeszcze w koszcie zakupu każdego produktu pokrywamy i tak w stu procentach koszt jego opakowania. No bo przecież skoro płacimy kaucję za opakowanie, to koszt samego napoju powinien spaść o koszt tego opakowania, a nie spadł. Czyli kaucja to nie jest koszt opakowania, tylko element państwowego mechanizmu szantażu, żebyś butelkę czy puszkę, za którą i tak zapłaciłeś sto procent – i która wobec tego stanowi twoją własność – oddał w ramach walki o czystsze środowisko. Bo z systemu kaucyjnego odzysk materiałów do wtórnego wytworzenia opakowań jest większy niż ze zwykłej segregacji odpadów – tak powiadają spece. Dobra, może i tak, ale czy przerażająca liczba wymagających odzysku i recyklingu opakowań – idąca w skali tylko naszego kontynentu w grube miliardy rocznie – to wymysł tych, którzy dziś ponoszą koszty tego całego systemu? Wygląda więc na to, że państwo szantażuje cię utratą dodatkowej kasy, jeżeli nie zwrócisz czegoś, za co i tak zapłaciłeś.

Pamiętam z dzieciństwa i młodości, jak po prostu szło się do sklepu z butelkami na wymianę, które też przeważnie można było oddać, zamieniając je od ręki na żywą kasę. Ostatecznie były też punkty skupu, które kupowały wszystko, jak leci i bez pytania, nawet te butelki, które nie były kaucjonowane, i słoiki. I komu to przeszkadzało? Może ktoś powie, że wtedy mieliśmy w sklepach tylko mleko, ze dwa rodzaje wody mineralnej, jeden rodzaj coli, dwa rodzaje oranżady, względnie Ptysia, więc wszystkiego było kilka rodzajów butelek na krzyż – było to logistycznie łatwiejsze do opanowania.

Co bardziej liberalni myśliciele i inni fanatycy wolnego rynku mogą też powiedzieć, że przecież to społeczeństwo swoimi portfelami głosuje za tym, by w sklepach było dostępne kilkanaście rodzajów napojów w co najmniej kilku wariantach opakowań tylko jednego koncernu. Doprawdy? Czy to nie jest jednak tak, że to same koncerny tworzą rynek nadmiernej podaży, po czym koszty odbioru i recyklingu opadów po niej przerzucają na państwa, samorządy i społeczeństwa? Nie mówiąc o kosztach ukrytych: przecież dymanie przez pół dnia po dzielni z workiem pustych butelek i sterczenie w kolejkach dla czterech zeta to nie jest to, co powinno być treścią życia człowieka współczesnego. A to nie jednorazowa akcja, tylko coś, co ma stać się codzienną rutyną. Zatem naszą codzienną rutyną ma stać się wkurw z powodu nieczynnych, popsutych, przepełnionych butelkomatów i konieczności sterczenia w kolejkach dla odzyskania kilku złotych, z których system nas ograbił, żebyśmy dbali o planetę, którą sam zaśmieca.

Pogoń za postępem

Albo te zakrętki od butelek, co to nagle przymocowano je na stałe. Niby też w ramach ekologii – oficjalne uzasadnienie jest proste: zakrętki należą do najczęściej spotykanych plastikowych odpadów, więc należy zadbać o to, by trafiały do recyklingu razem z butelką. Sam cel może i słuszny, jednak problem zaczyna się wtedy, gdy spojrzymy na koszty. I nie chodzi wyłącznie o pieniądze, lecz także o wygodę. Butelka stała się mniej poręczna, trudniej się z niej pije, nalewa i ponownie ją zakręca. I każdego dnia wkurwia miliony ludzi. To przecież znów ukryty koszt: w dyskusjach o ekologii nie mówi się o nim, ponieważ nie pojawia się na paragonie.

A weźmy teraz smartfony z tymi aplikacjami, co to wiecznie się aktualizują akurat wtedy, gdy chcesz ich użyć, i zapychają system, spowalniając jego działanie i prowadząc do naturalnej śmierci aparatu. Z tymi bateriami, co to już w pół godziny naładujesz je do pełna, ale za to po dwóch latach padają jak kawki, zmuszając do kupowania nowych – smartfonów, bo samej baterii już dziś nie wymienisz. Albo te pralki, lodówki, telewizory psujące się zaraz po upływie gwarancji, żeby szybciej kupić nowsze, doskonalsze. I te samochody napakowane elektroniką jak stodoła słomą po żniwach, których nijak nie naprawisz bez autoryzowanego serwisu winszującego sobie za każdą wizytę kwotę, za którą kilka lat temu można było kupić mały samochód. A szybka moda, co to musisz ją mieć, bo inaczej nie istniejesz... itd., itd. Czego jeszcze potrzebujemy, żeby lepiej żyć? Czy to jeszcze jest postęp, czy już tylko pogoń za czymś, co daje nam złudne wrażenie pełniejszego korzystania z życia? Jaki to ma sens? Jak dużo jesteśmy jeszcze w stanie znieść, by całkiem nie oszaleć?

System rozwiązuje sam siebie

Dawniej filozofowie zastanawiali się nad naturą bytu, wolności i szczęścia. Dziś możemy dojść do tych samych pytań, zaczynając od pustej butelki i zakrętki za parę groszy.

No właśnie, a co by o tym powiedzieli klasycy? Karol Marks prawdopodobnie uznałby, że butelka i zakrętka są tylko objawem głębszych relacji ekonomicznych i sposobu organizacji produkcji. Adam Smith pewnie zwróciłby uwagę na korzyści płynące z podziału pracy i rynku, ale nie byłby zachwycony, że część kosztów działalności gospodarczej jest przerzucana na ogół społeczeństwa. Ivan Illich mógłby zapytać, czy nie tworzymy coraz bardziej skomplikowanych systemów do rozwiązywania problemów, które sami wcześniej stworzyliśmy, a Albert Camus pewnie spojrzałby na człowieka walczącego codziennie z przyczepioną zakrętką jak na nowoczesnego Syzyfa.

Przez dziesięciolecia odchodziliśmy od opakowań wielokrotnego użytku na rzecz jednorazowych. Było to wygodne dla producentów, handlu i konsumentów. Dziś budujemy coraz bardziej skomplikowane systemy zbiórki, segregacji i recyklingu, aby poradzić sobie z konsekwencjami tamtych decyzji. A w tle pozostaje jeszcze jedno ważne pytanie: czy obecny model konsumpcji jest odpowiedzią na potrzeby ludzi, czy raczej skutkiem podaży kreowanej przez producentów? Bo naprawdę trudno uwierzyć, że konsumenci spontanicznie zapragnęli setek rodzajów napojów sprzedawanych w tysiącach wariantów opakowań. Być może najpierw pojawiła się oferta, a dopiero potem potrzeba.

Rozmowa o butelce i zakrętce szybko przestaje być rozmową o butelce i zakrętce. Staje się rozmową o odpowiedzialności, kosztach, wygodzie, wolności wyboru i granicach konsumpcji. A to oznacza, że gdzieś pomiędzy butelką wody mineralnej a automatem do zwrotu opakowań tkwi pytanie o sens życia.

Najpierw człowiek zastanawia się nad butelką, kaucją, zakrętką, potem nad tym, kto ponosi koszty. Potem nad tym, kto podejmuje decyzje. A zanim się obejrzy, siedzi o trzeciej w nocy z wysuszoną flaszką i rozważa, czy współczesna cywilizacja nie jest przypadkiem gigantycznym systemem do zarządzania skutkami własnych rozwiązań.

EDYTA BAKER

Nie pij, nie pal, nie krytykuj

Mój dysydencki głos przeciw zakazom

Rada miasta Warszawy, podejmując decyzję o zakazie sprzedaży alkoholu w godzinach nocnych, wykazała się nie tylko brakiem wyobraźni, ale też nieznajomością faktów z nie tak odległej przeszłości. Jest rzeczą powszechnie znaną, że wprowadzanie wszelkich zakazów powoduje naturalną reakcję odwrotną. Wiadomo, że skoro nie da się zakupić trunku legalnie, to najprostszym wyjściem jest udanie się na melinę.

Biednym zawsze wiatr w oczy

Zakaz sprzedaży alkoholów w sklepach i na stacjach benzynowych skutkuje tym, że mniej pieniędzy trafia do budżetu państwa, a jednocześnie rosną dochody meliniarzy. I na tym polega oryginalny sposób dotowania nieznacznego ułamka uboższej części społeczeństwa.

Jednak z drugiej strony – większy procent ubogich uszczupla swoje zasoby materialne, zakupując tak potrzebne im płyny po wyższej niż w sklepach cenie. A są to ludzie w większości uzależnieni od alkoholu. Tracą na tym finansowo rodziny alkoholików, co nijak się ma do szczytnych haseł ochrony rodziny i tym samym jest sprzeczne z tym artykułem konstytucji, zgodnie z którym małżeństwo, a więc także rodzina, znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej.

Nowe regulacje sprzyjają też pogłębieniu nierówności społecznych będących immanentną cechą kapitalizmu. Ponieważ antyalkoholowy zakaz nie dotyczy restauracji, to ludzie majętni będą mogli swobodnie i legalnie uchlać się w nocnej knajpie

– a jeżeli ktoś bogaty woli uwalić się w domu, to może sobie nabyć w knajpie butelczynę na wynos.

Stołeczne władze, wprowadzając rzeczony zakaz, przekonywały, że w pilotażowych dzielnicach znacznie spadło spożycie alkoholu. Argumentacja o tyle chybiona, że uwzględnia jedynie spadek sprzedaży w Śródmieściu i na Pradze Północ – podczas gdy nie podaje się danych co do jej wzrostu w innych dzielnicach, w których zaopatrywali się mieszkańcy dwóch dzielnic administracyjnie przymuszeni do nocnej abstynencji.

Aby uprzedzić ewentualne wycieczki pod moim adresem, oświadczam, że rzeczone ograniczenia mnie nie dotyczą. Po pierwsze, nie mieszkam w Warszawie. Po drugie, nawet gdybym był Warszawiakiem, to już wyrosłem z wieku, kiedy kupowałem wódkę w sklepach nocnych, a jeszcze wcześniej w centrum meliniarskim na Placu Zbawiciela. Chcę jedynie zwrócić uwagę na skutki nieprzemyślanych decyzji.

Alkohol szkodzi nie tylko pijącym

Historia ubiegłego stulecia wyraźnie wskazuje na to, że antyalkoholowe restrykcje przynoszą więcej szkody niż pożytku. Im ostrzejsze są te ograniczenia, tym gorsze są ich skutki. Wprowadzona w Stanach Zjednoczonych prohibicja doprowadziła do rozrostu gangsterstwa i bandytyzmu. Z kolei w konkurencyjnym wobec USA mocarstwie wprowadzone za rządów Michaiła Gorbaczowa drastyczne ograniczenia w dostępie do spirytualiów spowodowały nie tylko twórczy rozwój przemysłu bimbrowniczego, lecz także zmuszały ludzi do wystawania w monstrualnych kolejkach przed placówkami handlowymi, gdy akurat pojawił się tam długo oczekiwany towar. Po Moskwie krążył wówczas następujący dowcip. Zapowiedź w metrze: „Stacja sklep monopolowy, następna stacja koniec kolejki". Na częściowej prohibicji korzystali natomiast pracownicy polskich placówek i delegatur central handlu zagranicznego. Aby coś załatwić w radzieckich urzędach czy z partnerami handlowymi, kupowali wódkę w Baltonie, a następnie wręczali ją miejscowym. Trudno byłoby to uznać za korupcję. Wszak nie dawano łapówek, a jedynie prezenty. I w ten sposób w realnym wymiarze umacniała się przyjaźń polsko-radziecka. Moskiewski antyalkoholowy amok doprowadził do likwidacji uprawy winorośli na terenie Mołdawii, a ich przywrócenie trwało latami.

eprasa.pl e9ac69a6d6

Prymas przecinków i junta filologiczna

Jaruga kontra Bralczyk

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jeżeli chodzi o prof. Jerzego Bralczyka, to w zasadzie nie sposób nie zauważyć, że w minionym tygodniu został on ogłoszony Wybitnym Polakiem 2026. Co gorsza – profesor na ten tytuł się zgodził. Nagrodę przyznała Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego, która na co dzień zajmuje się certyfikowaniem jakości parówek i okien PCV, naklejając na nie znaczek „Teraz Polska". Tegoroczny laureat prof. Bralczyk odebrał dyplom w filharmonii, by nadać operacji pozory wyższej kultury.

Jako cel satyryczny profesor jest przeciwnikiem wyjątkowo uciążliwym, posiada bowiem jedną zasadniczą wadę: wszyscy go, psiamać, lubią. Jest narodową przytulanką inteligencji, bezpiecznym mędrcem od „ą" i „ę". I to mimo iż nikt inny jak właśnie on autorytatywnie stwierdził, że zwierzęta tradycyjnie „zdychają", a „umierają" wyłącznie ludzie. Efekt? Miliony Polaków, zamiast martwić się inflacją, nadchodzącą wojną, rzuciły się do gardeł w obronie godności swoich kundli i dachowców. Powstał spór narodowy, którego nie wywołał żaden polityczny skandal, lecz jeden nieszczęsny czasownik wypowiedziany ustami profesora.

Postanowiłem zmierzyć się z tym pomnikiem, a jestem do tego uzbrojony przez samego mistrza. Jak większość warszawskich dziennikarzy, byłem studentem profesora i – zapewniam – nie miałem z nim lekko. Bralczyk to w rzeczywistości lingwistyczny tyran, a ja jestem patentowanym, zdiagnozowanym dyslektykiem. W jego oczach nie byłem po prostu człowiekiem z defektem, kimś w rodzaju piśmienniczego kaleki, lecz żywą egzemplifikacją moralnego upadku i niechlujstwa duszy, które wyciekało na papier. Pamiętam ten jego ironiczny uśmiech znad okularów; patrzył na moje błędy tak, jakby widział w nich bezpośredni zamach na fundamenty cywilizacji łacińskiej. On nie uczył nas języka – on nas tresował w bezwzględnym posłuszeństwie wobec litery.

Wieczny nadzorca polszczyzny

Najpierw spójrzmy na Bralczyka z perspektywy historycznej, bo to postać o trwałości godnej granitowego nagrobka. Systemy padały, rządy gniły i rozpadały się w proch, premierzy przychodzili i odchodzili. Ludność przesiadła się z dymiących maluchów do bezszelestnych Tesli – a Bralczyk trwał.

Nie była to oczywiście władza formalna. Profesor nie dzierżył teki ministra poprawności składniowej ani nie piastował stanowiska dyrektora generalnego Centralnego Zarządu Przecinków, ale jego wpływy były znacznie bardziej podstępne.

Zasiadał bowiem w Radzie Języka Polskiego, a ta instytucja to był w istocie kolektywny organ totalitarny, coś w rodzaju Inspekcji Odmiany Imion. Rzec można: junta filologiczna, która rościła sobie prawo do decydowania o tym, jakimi słowami wolno nam myśleć. Nie będę tu wyliczał wszystkich aspektów tej dyktatury, skupię się na sprawach naprawdę drastycznych, które obciążają sumienie Bralczyka i jego kolegów po fachu.

Na przykład: przez lata w Polsce obowiązywał system, w którym kierownik urzędu stanu cywilnego mógł odmówić wpisania dziecku imienia, które uznał za zbyt ekstrawaganckie. W razie wątpliwości zwracał się po opinię do Rady Języka Polskiego przy PAN, a tamtejsi mędrcy rozstrzygali o losach noworodków. To oni decydowali, czy obywatel ma prawo nazwać córkę Jennifer. Rada zazwyczaj mówiła: „nie", sugerując jako patriotyczną alternatywę Wenefrydę – imię brzmiące jak nazwa rzadkiej choroby wenerycznej lub preparatu do czyszczenia srebra.

Gdy rodzice marzyli o córce Poziomce albo synu Tupaku, los ich latorośli spoczywał w rękach Bralczyków i Miodków, którzy pilnowali czystości narodowego onomastykonu. Na szczęście ten rozdział należy już do czasów słusznie minionych. Dziś, dzięki poluzowaniu lingwistycznych kleszczy, można nazwać dziecko Montezuma, Kabanosław, a nawet Adolf – choć trzeba przyznać, że w tym ostatnim przypadku od 80 lat nie odnotowano chętnych.

Gdyby nie ta filologiczna junta, do dziś błądzilibyśmy w ciemnościach, nie wiedząc, jak traktować pocztę elektroniczną. E-mail, email czy swojski mejl? Dyktatura Bralczyków nie zna jednak litości – ustalili nawet dopełniacz, który brzmi „e-maila", choć profesor pewnie najchętniej kazałby nam pisać listy gęsim piórem. Podobnie przemielono przez polskie żarna SMS-y, PC-ty i VIP-y. To nie jest zwykła gramatyka, to jest administracyjne zarządzanie chaosem rzeczywistości.

Nieznany współautor III Rzeczypospolitej

Przejdźmy teraz do sprawy, o której mówi się szeptem albo wcale, choć jest to kwestia zasadnicza – wręcz fundamentalna. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprzeczy, że Konstytucja RP to ustawa, która ma pod sobą wszystkie inne regulaminy, kodeksy i pobożne życzenia.

Patrząc na to od strony formalnej, konstytucję napisał i uchwalił parlament głosami wybrańców 38-milionowego narodu 29 lat temu. Brzmi to nieźle w podręczniku do wiedzy o społeczeństwie dla dwunastolatka, który wierzy jeszcze w bezstronność sędziów piłkarskich. My jednak wiemy, że to tak nie działa. Ktoś musiał te wszystkie paragrafy fizycznie sformułować, ubrać w słowa i nadać im urzędową kindersztubę. I tu właśnie z mroku dziejów wyłania się nazwisko prof. Bralczyka.

Sam profesor wspomina o tym skromnie, niemal półgębkiem, jakby opowiadał o drobnej korekcie menu w barze mlecznym. Twierdzi, że był jedynie rzecznikiem „kompromisu między precyzyjnym językiem prawniczym a piękną polszczyzną", że tylko wygładzał, opiniował i konsultował. Wierzycie w to? Czy wierzycie, że człowiek o tak potężnych dyktatorskich zapędach, lingwistyczny satrapa, który potrafi rozpętać wojnę domową o jedno „zdychanie", nagle ujął się w cugle i pokornie służył politykom? Ja w te bajki nie wierzę.

Czytając ten dekalog państwa, nie sposób nie wyczuć w nim specyficznego bralczykowania, tego wszechobecnego bralczykowizmu. To on nadał naszej ustawie zasadniczej coś więcej niż ton wyższościowej elegancji, by działała zgodnie z zasadami poprawnej składni.

W cieniu legendarnego Brala

A teraz przejdźmy do sprawy, o której wspomnieć nie wypada, więc wspomnę o niej z rozkoszą. Kim właściwie jest ten Bralczyk? Etymologia nazwisk bywa brutalnie logiczna: Kowalczyk to syn kowala, Stachowicz to latorośl Stacha. Pytam więc: kim był Bral?

Tego nie wiedzą najstarsi górale ani najmłodsi asystenci na polonistyce. Być może Bral był poborcą podatkowym, być może złodziejem kur, a być może po prostu człowiekiem, który – jak wielu w tym kraju – wyjątkowo lubił brać. To jednak drugorzędne, bo dziś „Bralczyk" to już nie nazwisko. To rzeczownik oznaczający instytucję powołaną do naprawiania cudzych błędów i wypaczeń. To marka, flaga i znak firmowy systemu, który trwa od dekad. To świecki odpowiednik świętego; Bralczyk nie jest zwykłym językoznawcą – on jest prymasem polszczyzny.

Bóg nie mówi po polsku

Skoro jednak uderzamy w tony religijne, warto postawić pytanie zasadnicze: czy polszczyzna to religia prawdziwa? Otóż nie!

Podobnie jak większość ludzkich narzeczy, jest ona jedynie marnym, koślawym reprezentantem rzeczywistości. Słów jest zawsze mniej niż rzeczy, a granice wyrazów rzadko pokrywają się z granicami realnego świata. Język opisuje wszechświat z perspektywy człowieka, a nie samego wszechświata, i jest pełen historycznych skamielin. Wciąż mówimy, że „słońce wschodzi", choć od czasów Kopernika wiemy, że ono ma nas głęboko w nosie i nigdzie się nie rusza. Mówimy, że „komórka dzwoni", choć od lat wydaje z siebie tylko cyfrowe beknięcia.

Najistotniejsze jest jednak to, że język wcale nie został stworzony do poznawania prawdy. Powstał po to, żeby ludzie mogli sprawniej współpracować, ostrzegać się przed drapieżnikami, handlować pietruszką, zdobywać partnerów do kopulacji i budować stada.

I tu objawia się tragiczny paradoks Bralczyka: człowiek ten całe życie poświęcił doskonaleniu narzędzia, które z natury jest ułomne. To tak, jakby ktoś przez pół wieku z uporem maniaka polerował szybę, przez którą i tak oglądamy świat tylko we fragmentach. Można ją uczynić czystszą, przejrzystą, pozbawioną smug i zacieków, ale ona nigdy nie stanie się samym światem.

Bralczyk to rzeczywiście Wybitny Polak, co – mam nadzieję – udowodniłem ponad wszelką wątpliwość, ale nie zapominajmy o jednym: sensu istnienia nie znajdziemy w wiedzy o poprawnej odmianie rzeczowników. Można zginąć z głodu, mając nienaganną dykcję, i można być kompletnym idiotą, nie robiąc ani jednego błędu ortograficznego. Czego profesorowi, sobie i Państwu z całego serca nie życzę.

ROBERT JARUGA

Oczywiście spożywanie trunków ma swoje negatywne skutki – zwłaszcza gdy konsumowane są w nadmiarze, zbyt często lub przez osoby do tego nieprzygotowane. Jednak nie tylko. Sylwestrowego szampana piją niemal wszyscy, co nie oznacza, że są nadmiernymi pijusami czy wręcz alkoholikami. Kiedy przed laty odbywałem kurs na prawo jazdy, to prowadzący wykład lekarz twierdził, że polskie przepisy są bezsensowne, ponieważ nie pozwalają na prowadzenie samochodu po wypiciu lampki koniaku. Tymczasem – jak mówił – niewielka jego ilość powoduje wyostrzenie refleksu. Nie wiem, nie próbowałem, nie lubię koniaku.

Antynikotynowa histeria

Władze traktują ludzi dorosłych jak małoletnich smarkaczy, których należy wychowywać za pomocą kar i zakazów. Najłatwiej jest to robić wobec osób pijących alkohol i palących papierosy. Presja tzw. obyczajowej poprawności sprawia, że nikt nie ośmieli się zaprotestować. To niemal tak, jakby chwalił Putina za atak na Ukrainę.

Ceny wyrobów tytoniowych coraz to idą w górę przy milczącej aprobacie elit politycznych. A przecież każda podwyżka papierosowych cen oznacza dalsze drenowanie kieszeni nie tylko osób palących, lecz także ich rodzin.

Tymczasem opór przeciwko rosnącym cenom papierosów mógłby wreszcie być przykładem zgody ponad politycznymi, klasowymi i środowiskowymi podziałami. Palenie jest bowiem nałogiem egalitarnym. Palą zarówno bogaci biznesmeni, bankowcy itp., jak i ludzie biedni utrzymujący się z niskich rent i emerytur czy zasiłków; różnią się co najwyżej co do gatunków. Jednak każdy krytyczny głos w tej sprawie natychmiast zostałby okrzyknięty jako propagowanie chorobotwórczego palenia.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Podobnie jak większość ludzi myślących uważam, że palenie papierosów jest szkodliwe dla zdrowia, choć sam też lubię sobie zapalić. Z papierosami bowiem jest tak jak z prawicą: są szkodliwe, jednak jest na nie zapotrzebowanie społeczne. Walka z paleniem, chociaż merytorycznie słuszna, przybrała w ostatnich latach mocno przesadne rozmiary. Jest to jednak poniekąd temat tabu. O ile pamiętam, jako pierwszy na ten przesadyzm zareagował Jerzy Urban, wskazując na nonsensowny zakaz palenia w budynkach publicznych. Zwrócił uwagę, że ludzie, zamiast wykonywać jakieś twórcze zajęcia, wystają przed budynkami „na papierosie" – nie mówiąc już o tym, ile czasu tracą na przejazdy windą, jeśli ich biura zostały usytuowane na najwyższych piętrach wysokościowców.

Jedynym znanym mi przypadkiem olewania antynikotynowych dyrektyw był jeden z posterunków policji, gdzie funkcjonariusze jak normalni ludzie palili przy biurkach i pozwalali palić osobom przesłuchiwanym bądź tylko wysłuchiwanym. Lokalizacji tego komisariatu nie podam, aby nie podkablować tych zdroworozsądkowych policjantów. Niech ich sobie policyjne służby wewnętrzne szukają po całej Polsce, jeśli nie mają lepszych zajęć.

Jestem na tyle zgredziały, że pamiętam czasy, kiedy można było palić niemal wszędzie, z wyjątkiem miejsc, gdzie zakaz był uzasadniony: szpitali, szkół i przedszkoli, sal teatralnych i kinowych, a także komunikacji miejskiej. W samolotach palenie było dozwolone z wyjątkiem momentów startu i lądowania. W pociągach dalekobieżnych wydzielone były przedziały dla palących, dzięki czemu nie mogli oni tytoniowym dymem podtruwać niepalących współpasażerów. Teraz przedziały dla palących zostały zlikwidowane i w żadnym pociągu nie da się już zaciągnąć dymkiem, nie szkodząc przy tym innym podróżnym. Zakaz palenia obejmuje także hotele. W tym ostatnim przypadku zabrania się palenia nawet w pokojach jednoosobowych – mimo, że nikt poza jego lokatorem nie jest zmuszany do wdychania papierosowego dymu.

Antynikotynowa histeria miała swój początek w Irlandii, kiedy zakazano palenia w lokalach gastronomicznych. Skutek był taki, że wprawdzie lokale z wyszynkiem utraciły swoją niepowtarzalną zadymioną atmosferę, jednak z drugiej strony wychodzenie na papierosa sprzyjało nawiązywaniu nowych znajomości. Ku zadowoleniu palaczy i na złość pryncypialnym antynikotynowcom zakazy te nie obowiązują na całym świecie. Będąc w Mozambiku, odwiedziłem tamtejsze stołeczne centrum handlowe. Na ostatnim piętrze znajdowała się mała kawiarnia, w której można było palić. Skorzystałem więc z tej okazji, upajając się wyższością afrykańskiej wolności nad europejską.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl e9ac69a6d6

Biedaschrony

Przed rakietą wroga najlepiej chroni prezentacja w PowerPoincie

Od 2024 r. w Polsce nie wybudowano od podstaw ani jednego nowego ogólnodostępnego schronu. Nie chodzi o brak wielkich kompleksów podziemnych czy przeciwatomowych bunkrów. Nie powstał nawet zwykły cywilny schron dla mieszkańców jakiegokolwiek osiedla. Przez dwa lata państwo zajmowało się głównie liczeniem piwnic, sprawdzaniem starych podziemi i opowiadaniem obywatelom, że trwają audyty.

Schronieni doraźnie

Tak samo jak trwały przez ostatnie trzy dekady. Tyle że teraz nazwano je „budowaniem odporności infrastrukturalnej", bo brzmi znacznie poważniej niż oglądanie zawilgoconych piwnic z czasów Gierka.

Według oficjalnych danych w Polsce istnieje ponoć około 1,9 tys. schronów oraz 8,7 tys. ukryć. Łącznie mają one pomieścić około 1,43 mln ludzi. Miejsce w budowli ochronnej znajdzie co 26. mieszkaniec kraju. Reszta może schować się pod stołem, wejść do rowu albo pobrać rządową aplikację „Schrony".

Ale nawet te 1,43 mln miejsc istnieje teoretycznie. Najwyższa Izba Kontroli ustaliła bowiem, że 68 proc. schronów i 53 proc. ukryć nie spełnia minimalnych standardów bezpieczeństwa. To trochę tak jakby Ministerstwo Zdrowia ogłosiło, że mamy tysiące karetek, po czym dodało małym druczkiem, iż połowa nie ma silnika.

Ale władza jest zachwycona. Wiceszef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji Wiesław Leśniakiewicz triumfalnie zapowiadał, że „pieniądze na miejsca doraźnego schronienia, ukrycia i na schrony będą", bo przecież ogłoszono gigantyczny program Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej (OLiOC) na lata 2025–2026. Ma on kosztować 34 mld zł, a 5 mld zł z tej astronomicznej kwoty przeznaczono dla samorządów.

W kraju jest 2477 gmin, więc wychodzi około 2 mln zł na gminę. Za tyle dziś w większym mieście kupuje się kilka mieszkań od dewelopera albo buduje rondo z patriotycznym kamieniem pośrodku.

Przecinanie wstęgi z motopompą

W Oławie groteska programu schronowego objawia się szczególnie pięknie. Bo tam nawet nie próbuje się udawać, że chodzi o budowę realnych schronów. Miasto dostało bowiem z rządowego programu ok. 1,36 mln zł na zadania inwestycyjne oraz kolejne 319 tys. zł na zadania bieżące. Łącznie daje to nieco ponad 1,6 mln zł. Za te „gigantyczne" środki Oława nie wybudowała, rzecz jasna, ani jednego nowego schronu. Kupiła za to koparko-ładowarkę, namioty pneumatyczne, agregaty prądotwórcze, kontenery mieszkalne, motopompy, kuchnię polową, zbiorniki na paliwo, przenośne toalety i racje żywnościowe. To, co kupuje się przy okazji powodzi albo większej wichury.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ale mieszkańcy Oławy dowiedzieli się, że ich bezpieczeństwo wzrośnie dzięki namiotom rozkładanym w 15 minut. Urzędnicy z dumą tłumaczyli mediom, że można je „łączyć w sekcje" i tworzyć „bazy terenowe". Gdyby człowiek nie wiedział, że chodzi o ochronę ludności przed wojną, mógłby pomyśleć, że miasto szykuje się do organizacji festiwalu muzycznego albo zlotu food trucków. Jeszcze piękniej brzmią opisy antyrakietowych kontenerów mieszkalnych – są całoroczne, mają ogrzewanie i węzeł sanitarny.

Na stronach Oławy i innych miejscowości można więc dziś oglądać triumfalne posty o „ruszającej budowie schronów". Tyle że pod słowem budowa kryje się głównie adaptowanie istniejących piwnic, garaży podziemnych i starych pomieszczeń technicznych – polska obrona cywilna została sprowadzona do remontu komórki lokatorskiej.

Lecz w mediach przeczytamy, że schrony mają być odporne na falę uderzeniową, drgania sejsmiczne, wyposażone w filtrację powietrza, niezależne źródła energii i dostosowane do potrzeb osób niepełnosprawnych.

Najpiękniejsze jest jednak to, że państwo samo przyznaje: „nie każdy schron musi być bunkrem". To zdanie powinno zostać oficjalnym mottem polskiej obrony cywilnej. Tak samo jak nie każdy szpital musi leczyć, nie każda szkoła musi uczyć, a nie każdy pociąg musi jechać.

I dlatego najbardziej komiczne są propagandowe fotografie lokalnych polityków stojących w starych piwnicach z minami ludzi właśnie budujących Linię Maginota XXI w. Samorządowiec pokazuje odmalowaną ścianę, nową lampę LED i gaśnicę, po czym oznajmia, że „podnosimy odporność miasta". Za 180 tys. zł. Wszystko odbywa się pod hasłem „wieloletniego programu". To ulubione określenie władzy, bo efektów nie trzeba pokazywać teraz. Wystarczy ogłosić strategię, a najlepiej kilka strategii naraz i okrasić zapewnieniem polityków, że „bezpieczeństwo jest priorytetem". Tyle że Polsce wszystko jest priorytetem – energetyka, kolej, szpitale, mieszkania, no i zbrojenia.

Garaż podnoszący statystykę

Gdy jednak czyta się zapowiedzi związane z nowymi przepisami budowlanymi i ochroną ludności, trudno oprzeć się wrażeniu, że

głównym celem całego przedsięwzięcia nie jest ochrona obywatela, ale stworzenie nowego rynku. Takiego samego jak wcześniej rynek certyfikatów energetycznych, obowiązkowych miejsc parkingowych, paneli fotowoltaicznych, pomp ciepła czy balkonów o minimalnej głębokości

przewidzianej przez rozporządzenie. Zawsze działa to identycznie, a na końcu obywatel dostaje rachunek.

Teraz więc kondygnacje podziemne w nowych budynkach przestaną być zwykłymi garażami i piwnicami, a staną się „miejscami doraźnego schronienia". Chodzi zaś o bardziej skomplikowaną wentylację, dodatkowe instalacje, wzmocnienia konstrukcyjne, alternatywne zasilanie oraz inny układ przestrzeni pod ziemią, czyli to, co powoduje wzrost kosztów budowy. A kiedy one rosną, to ceny mieszkań skaczą wzwyż.

Opowieści polityków o tym, że zgodnie z nowym prawem „kondygnacja podziemna przestaje być wyłącznie miejscem na samochody", tym razem nie są bujdą – od teraz będzie ona miejscem do generowania dodatkowego zysku z metra kwadratowego inwestycji. Zapłaci każdy. A ile? Według deweloperów maksymalnie o około 6 proc. Jeśli jednak mieszkanie w dużym mieście kosztuje dziś milion złotych, to owe procenty oznaczają 60 tys. zł. Obywatel zapłaci.

Państwo zaś będzie zachwycone. W statystykach pojawią się bowiem „miejsca schronienia". Rubryczki zaczną się zgadzać, urzędnik wpisze, że zdolności ochronne państwa wzrosły, minister ogłosi sukces, a telewizja pokaże nowoczesny garaż z filtrowentylacją. Tylko płacący za takie mecyje obywatel będzie miał dokładnie taki sam problem jak wcześniej, bo jeśli naprawdę doszłoby do wojny wymagającej używania schronów, to pierwszą rzeczą, która przestałaby działać, byłaby właśnie cała ta infrastruktura oparta na prądzie, automatyce i skomplikowanych instalacjach technicznych.

W Finlandii niemal 90 proc. populacji ma miejsce w schronie. Ale tam budowano je przez dekady jako element systemu obronnego państwa graniczącego z ZSRR. Tam schron był częścią filozofii bezpieczeństwa narodowego – w Polsce schron ma być częścią modelu biznesowego dewelopera.

Wzmocniony garaż stanie się prawdopodobnie kolejną marketingową zachętą, obok „strefy wellness", „zielonych części wspólnych", „pakietu smart home" i „rowerowni premium". Zresztą sami przedstawiciele branży już mówią o tym, że zgodnie z przepisami schron może być jednocześnie salą fitness, parkingiem, magazynem, rowerownią albo boiskiem. Będzie więc wszystkim po trochu, a schronem głównie na papierze.

Najważniejsze jednak, że państwo na tym zyska. Nie wydając na takie schrony ani grosza z 34 mld zł przeznaczanych na budowle ochronne, będzie mogło opowiadać, jak to rośnie nasz potencjał schronowy. No i puszczać kasę nie na wozy strażackie jak za Ziobry, ale w samorządowe antyrakietowe koparko-ładowarki i przeciwatomowe namioty pneumatyczne.

TADEUSZ JASIŃSKI

Magisterium niespełnienia

Polska wymiera, ale uczelnie jakoś nie

GUS wyliczył, że w roku akademickim 2024/2025 działały w Polsce 352 uczelnie wyższe. Jeszcze bardziej imponujące jest to, że funkcjonowały one w kraju, w którym liczba ludzi między 19. a 24. rokiem życia od dwóch dekad leci na łeb. W 2005 r. młodych Polek i Polaków w tym wieku było ponad 3,8 mln. Dziś jest ich nieco ponad 2,3 mln. Ubyło więc ponad 1,5 mln potencjalnych studentów. A mimo to system szkolnictwa wyższego trwa niczym kombinat produkujący śruby do maszyn, których nikt już nie używa.

Drukarnie dyplomów

Bo przecież jeszcze w połowie lat 90. Polska miała ledwie około 100 uczelni wyższych. Potem nastąpił edukacyjny szał. Powstawały wyższe szkoły wszystkiego, uczelnie biznesu i administracji, humanistyki stosowanej, zarządzania strategicznego, pedagogiki europejskiej i marketingu medialnego. Każde miasto chciało mieć własny uniwersytet. Każdy rodzic chciał usłyszeć, że jego dziecko studiuje.

Przez trzy dekady młodym ludziom wtłaczano do głów przekaz, że bez studiów jesteś nikim. Nieważne, czy rynek potrzebuje kolejnego magistra europeistyki, komunikacji wizerunkowej albo bezpieczeństwa wewnętrznego z elementami coachingu. Ważne, żeby był dyplom. Najlepiej oprawiony w skórkę i wrzucony na LinkedIna.

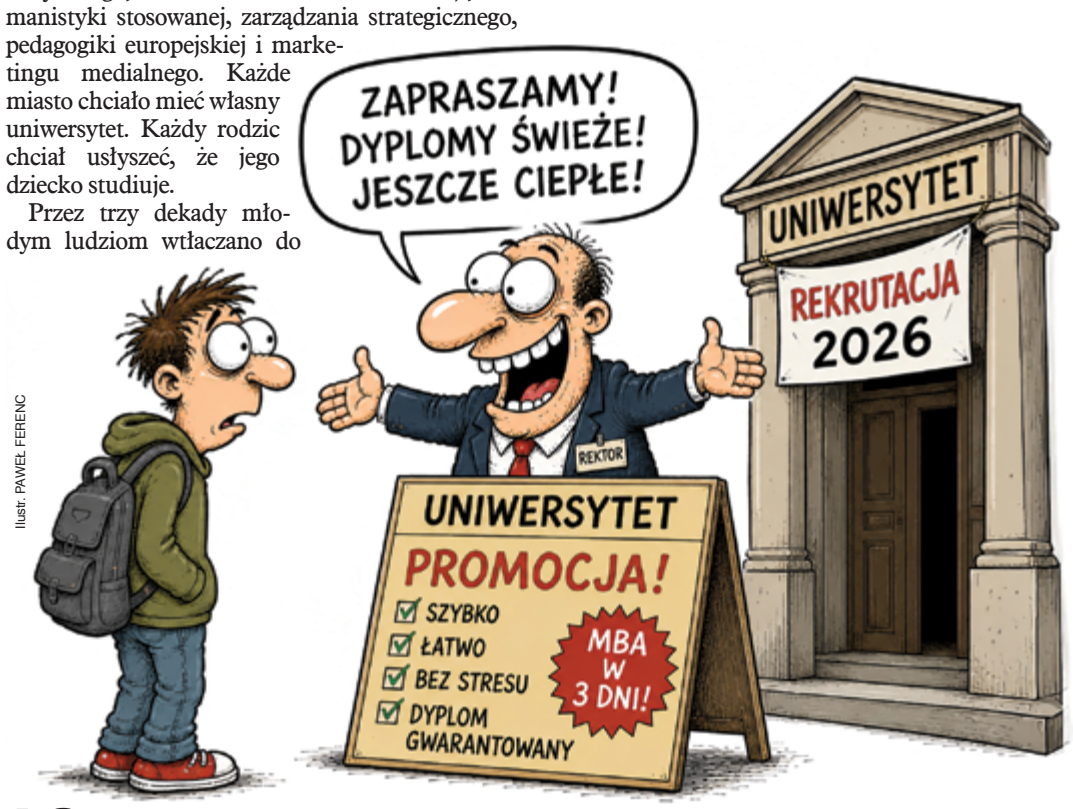

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Efekt jest taki, że Polska ma dziś ponad 1,28 mln studentów, ale coraz trudniej znaleźć chętnych do studiowania. Uczelnie muszą więc walczyć o klienta niczym dyskonty spożywcze o emeryta przed świętami. A skoro trzeba walczyć o klienta, to trzeba też obniżać wymagania.

Dawne Collegium Humanum, przemianowane na Uczelnię Varsovia, jest symbolem czasów, w których dyplom zaczął pełnić funkcję certyfikatu jakości. Bo liczy się nie wiedza i nie kompetencje, ale papier.

Przez lata Collegium Humanum rosło błyskawicznie, oferując ekspresowe MBA ludziom z polityki i samorządów. Potem zaczęły się śledztwa, zarzuty, zatrzymania i pytania o wartość wydawanych dyplomów. A jednak przez bardzo długi czas wszystko działało znakomicie. Dlaczego? Bo rynek chciał dyplomów, a właściciele uczelni czesnego.

Co chwilę zresztą okazuje się, że jakaś uczelnia bardziej przypomina spółdzielnię interesów niż instytucję naukową. A co państwo na to? Jeśli nie ma jakiejś grubej afery, to najczęściej nic. Wyjątkami są Akademia Kopernikańska i Szkoła Główna Mikołaja Kopernika, które miały być naukową perłą PiS. Obecna władza postanowiła je zlikwidować, bo ministerstwo uznało, że instytucje „nie sprawdziły się" i „nie mają przyszłości". Roczny koszt ich utrzymania wynosił około 15 mln zł.

Takich likwidacji powinno być dużo więcej, ale władza miast dbać o jakość nauki woli bawić się w personalia. Odwołanie prof. Piotra Borka z funkcji rektora Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie nie nastąpiło z powodu poziomu wyedukowania absolwentów, ale dlatego, że resort nauki uznał, że działania władz uczelni wobec pracowników stanowiły „uporczywe i rażące naruszenie przepisów". A to dlatego, że

na uczelni zwolniono ponad 80 osób, a państwowy uniwersytet zaczął bardziej przypominać korporację w trakcie restrukturyzacji niż świątynię wiedzy. Ba, ten sam rektor został skazany przez sąd za naruszenie praw pracowniczych czterech kobiet zatrudnionych na uczelni.

W jednym przypadku chodziło o zwolnienie bez wymaganej zgody związku zawodowego.

Bo władza akademicka zaczyna przypominać władzę feudalną. Rektor coraz częściej jest nie profesorem zarządzającym wspólnotą uczonych, ale lokalnym księciem rozdającym etaty, granty i stanowiska. To właśnie dlatego minister Kulasek zawiesił rektora prof. Mirosława Minkinę. Konkretnie zaś po zarzutach dotyczących mobbingu, naruszа-

eprasa.pl e9ac69a6d6

In vino veritas

Fot. IDALIA DUBICKA

Czy rząd wyleje najmłodsze dziecko gospodarki z kąpielą?

Schroniliście się kiedyś w poniemieckiej piwnicy przed bożocielnymi manifestacjami katolików? Ja tak. Mowa o piwnicy winiarskiej z czasów, zanim w wyniku politycznych konferencji i zamysłu Stalina Grünberg przemalowano na Zieloną Górę. Takich obiektów jest blisko 40. Początki uprawy winorośli w tym regionie sięgają średniowiecza. W 1846 r. zainaugurowano pierwsze uroczyste obchody winobrania. W mieście działały także wytwórnie nagradzanych na targach międzynarodowych win musujących. Współcześnie również można chlapnąć kieliszek (albo i flaszkę) lokalnego wina, nawet takiego z bąblami. Warto się jednak spieszyć – projekt nowelizacji ustawy antyalkoholowej może wkrótce pogrzebać to, co polscy winiarze przez dekady starali się pieczołowicie odbudować.

Wszyscy pod mur

Piwnice nie są otwarte na co dzień, można je zwiedzać podczas Dni Otwartych Piwnic Winiarskich połączonych z promocją lokalnego winiarstwa. Imprezę przy współpracy z miastem organizuje Fundacja Tłocznia, założona przez zielonogórskich regionalistów. Wstęp do obiektów jest darmowy, chętni na degustacje mogą zaopatrzyć się w karnety. Dostają wówczas kielonek z grawerem i wygodną zawieszką na szyję, a do ręki mapę z zaznaczonymi piwnicami. W każdej z nich swoje stoiska mają lubuscy winiarze. Wszyscy, z którymi rozmawiałam o projekcie ustawy, mówią jedno: jeśli przejdzie w niezmienionym kształcie, zarżnie polską kulturę winiarską.

Na tapecie jest kilka projektów noweli ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Dwa poselskie: Nowej Lewicy i Polski 2050; trzeci we współpracy m.in. ze Związkiem Pracodawców Polskiej Rady Winiarstwa i Izbą Win Polskich, złożyło PSL. Czwarty to projekt rządowy Ministerstwa Zdrowia, piąty – senacki.

NL domaga się całkowitego zakazu reklamy i promocji napojów alkoholowych pod groźbą grzywny do 1 mln zł, ograniczenia wolności albo obu tych kar łącznie.

Lewica proponuje też krajowy zakaz sprzedaży procentów w godzinach od 22:00 do 6:00, wycofanie gorzały ze stacji paliw i zakładów leczniczych, uwalenie promocji typu „12+12 browarów”.

W pakiecie jest jeszcze zakaz sprzedaży napojów wyskokowych poniżej sumy akcyzy plus VAT.

Polska 2050 postawiła na bezwzględny zakaz publicznej reklamy napojów alkoholowych i oznaczonych „0 proc.” oraz rozszerzenie uprawnień gmin do wprowadzenia lokalnych godzinowych zakazów sprzedaży.

Projekt MZ jest bardzo podobny do propozycji Lewicy, choć znalazło się kilka nowości. W pakiecie dorzucono zakaz sprzedaży alkoholu w postaci innej niż płyn (np. alkotubek), propozycję, aby napoje alkoholowe w opakowaniach do 300 ml mogły być sprzedawane wyłącznie w szkle lub metalu, a grzywnę za olanie zakazu reklamy i promocji obniżono do 750 tys. zł.

Projekt senacki skupia się m.in. na wprowadzeniu obowiązku umieszczania na opakowaniach trunków oraz w reklamie piwa informacji o szkodliwości spożywania przez osoby w ciąży lub karmiące piersią.

Winiarze z lubuskiego zgadzają się, że zmiany w przepisach są potrzebne. Problem polega na tym, że całkowity zakaz promocji najbardziej uderzy we właścicieli winnic, a nie w koncerny. Dlatego pomocy upatrują m.in. w projekcie PSL.

Wino i grono

Małe i średnie winnice nie żyją tylko ze sprzedaży win, choć cała zabawa właśnie wokół fermentu z winogron się kręci. Sektor opiera się na enoturystyce, degustacjach lokalnych wyrobów, wydarzeniach enokulinarnych. Jest też okazją do szkoleń, jak założyć własną uprawę winorośli, czy promowania historii regionu i sprzedaży bezpośredniej.

Branża do tej pory nie miała lekko. Małym producentom legalną produkcję i sprzedaż wina z własnych winogron umożliwiła zmiana przepisów z 2008 r. Wcześniej – jak opowiadali winiarze – radzono sobie różnie, np. sprzedając sadzonki winorośli z dołączoną doń butelczyną trunku. Po nowelizacji sektor ruszył z kopyta: dziś mamy przeszło 500 producentów lokalnych win. Najwięcej w Małopolsce i Lubuskiem, choć Dolny Śląsk, Podkarpacie i Lubelszczyzna też nie mają się czego wstydzić.

Winiarze mówią, że surowość projektowanego prawa nie ma sobie równych w Unii Europejskiej. Jako wzór do naśladowania podają Czechy. Tam reklama jest dozwolona, ale musi spełnić szereg wymogów. Nie wolno pokazywać młodych ludzi tłoczących procenty ani kierować do nich przekazu. Zakazane jest łączenie alkoholu z sukcesem społecznym, seksualnym czy właściwościami zdrowotnymi – w tym – uspokajającymi lub „rozwiązującymi problemy”. Nie można też ironicznie lub negatywnie przedstawiać abstynencji. Enoturystyka i związane z nią festiwale są powszechnie tolerowane. Jeśli restrykcyjne przepisy wejdą w życie, winiarze z Polski nie będą mogli eksponować swoich produktów na stoiskach, a to w tej chwili jedyna możliwość ich promocji.

Małżeństwo winiarzy spod Kożuchowa zwróciło uwagę, że nikt nie kupi flaszki lokalnego trunku bez możliwości uprzedniego skosztowania. Podkreślali również, że surowe przepisy wygumkują ich fach, podczas gdy w marketach wciąż będą piętrzyć się wina od wielkich wytwórców. Byli zdumieni, kiedy powiedziałam, że w sieci furorę robią saszetki z proszkiem, który po zmieszaniu z wodą i odstaniu daje 1,5 litra wysokoprocentowego zajzajeru za dychę. Ciekawe, czy ustawodawca jest tego świadomy...

Winiarze liczą, że uda się wypracować jakiś kompromis dzięki działaniu Izby Gospodarczej Lubuskich Winnic, lokalnych samorządowców i współpracy z PSL.

Projekt PSL zakłada, że przekazy informacyjno-kulturalne nie będą traktowane jako promocja alkoholu. Komunikacja producentów winiarskich w internecie będzie musiała zawierać informację o szkodliwości spożywania trunków i nie będzie bezpośrednio zachęcała do ich kupna. Zakup online będzie możliwy dzięki weryfikacji wieku przez Profil Zaufany albo e-dowód, dostawa zostanie opóźniona o minimum 24 godziny, a przesyłka zostanie wydana do rąk własnych.

Tu i ówdzie przebąkiwano, że w ostateczności prezydent Nawrocki może zmiany zawetować. Mocne hasła, jak na region zamieszkany przez twardy elektorat PO. Czy tak się stanie? Możliwe. Prezydent już wcześniej uwalał ustawy, które obciążały branżę alkoholową. Tłumaczył to ochroną obywateli (he he) i gospodarki. Wbrew pozorom piłka, a właściwie korek, wciąż jest w grze.

Brzydkie skutki

Pomysły na zakręcenie kurków z procentami nie wypadły sroce spod ogona. Szacuje się, że roczny koszt nadmiernego spożywania alkoholu dla budżetu państwa oraz całej gospodarki to ok. 185 mld zł. Dla porównania, bezpośrednie wpływy do budżetu z tytułu podatku akcyzowego i VAT od alkoholu wynoszą łącznie ok. 15–20 mld zł rocznie. Według WHO nie ma bezpiecznej ilości alkoholu. Smarkate skutki społeczne namiętnego romansu z flaszką są wszystkim znane, choć przez wielu olewane.

Co ciekawe, żaden z przedstawionych projektów nie przewiduje likwidacji najpopularniejszych w Polsce zwierzątek, czyli małpek. Szkoda, bo resort klimatu z potrzeby ograniczenia skali zanieczyszczenia przestrzeni publicznej przez skutek uboczny dyskretnej alkoholizacji planuje objęcie przez system kaucyjny tego formatu wódek. Idea z miejsca wkurwiła sklepikarzy.

Nie bez powodu PiS, PO i Konfederacja nie wyskoczyły z własnymi pomysłami dokręcenia regulacyjnej śruby. Pomijając kwestię podszeptów wielkich koncernów, utrącenie takiego zielonogórskiego winobrania, które jest największym świętem wina w Polsce – dziewięciodniową imprezą z koncertami, jarmarkami, wycieczkami do winnic etc. – mogłoby zdenerwować mieszkańców regionu. Albo likwidacja Międzynarodowych Dni Wina w Jaśle, coby nie faworyzować jednej strony kraju.

Festiwale takie jak ten z piwnicami mają szeroką ofertę: spektakle teatralne, rejsy galarami po Odrze, koncerty jazzowe itd. Imprezy ściągają do miast i miasteczek tysiące turystów z kraju i zagranicy. Nie trzeba nikomu tłumaczyć, jaka to radość dla regionów, gdzie z pracą nie jest tak kolorowo jak w metropoliach. Ba, na kilku uniwersytetach w kraju już można kształcić się z zakresu enologii. Nawet jeśli Nawrocki ostatecznie nie klepnie zmian, na długo zostanie zapamiętane, kto, gdzie i w jakiej intencji tuptał.

IDALIA DUBICKA

---

nia praw pracowniczych, nadużyć oraz naruszeń RODO. Rektor miał wysyłać wiadomości o charakterze seksualnym i proponować stanowiska w zamian za poparcie w wyborach rektorskich.

Generacja otwierających oczy

Jeszcze w roku akademickim 2015/2016 studentów było 1,4 mln. Potem liczba ta spadła do 1,2 mln. Teraz lekko odbiła, ale jednocześnie dramatycznie spadła liczba absolwentów. Jeszcze kilka lat temu dyplom odbierało ponad 364 tys. ludzi rocznie. Teraz już tylko 292 tys. Czyli setki tysięcy młodych ludzi dochodzą do wniosku, że szkoda im życia na siedzenie w sali wykładowej. Według oficjalnych danych w latach 2012–2020 studia rzuciło ponad 1,3 mln osób.

Młodzi nawet nie próbują już udawać, iż chodzi o jakieś „poszukiwanie siebie”, mówią wprost: „Nie chciałem poświęcić kilku lat życia dla dyplomu, który w praktyce mógłby nic nie zmienić”. To zdanie podsumowuje świetnie cały polski system edukacji wyższej. Bo młodzież doskonale widzi, że dyplom nie oznacza ani prestiżu, ani pieniędzy, ani bezpieczeństwa. To stracony czas i wynajem pokoju za 1800 zł miesięcznie.

Młodzi Polacy patrzą na samozatrudnionych płaczących nad ZUS-em. Spotykają absolwentów psychologii, kulturoznawstwa i zarządzania projektami cyfrowymi, którzy po pięciu latach studiowania wklepują dane w Excelu albo odbierają telefony od klientów pytających, dlaczego paczka nie doszła. Nic więc dziwnego, że coraz większa część młodych uznaje, iż zamiast tracić parę lat życia na dyplom, lepiej od razu nauczyć się czegoś praktycznego i szybko wejść na rynek nieźle płatnej, nieskomplikowanej pracy.

Lobby akademickie przywołuje dane mówiące, że bezrobocie wśród ludzi z wyższym wykształceniem jest niższe. Owszem, ale zarabiają mniej niż ludzie, którzy nie studiowali. Młody człowiek widzi, że nawet jeśli znajdzie pracę po studiach, to i tak będzie koczował u rodziców do czterdziestki. Że dyplom nie daje już awansu społecznego, tylko możliwość konkurowania z tysiącami identycznych absolwentów. Skoro zaś pokolenie Z jest „najlepiej wykształconą generacją w historii”, a jednocześnie najbardziej „przekwalifikowaną”, to znaczy, że system wyprodukował armię ludzi z papierami, których pracodawca nie potrzebuje.

Konkurenci sztucznej inteligencji

Polska nie byłaby jednak Polską, gdyby państwo nie działało od ściany do ściany. I z jednaj strony nie zamyka uczelni, ale z drugiej – ma dla młodych ludzi propozycję o nazwie Ochotnicze Hufce Pracy. Bo otóż OHP ogłosiły właśnie nabór dla młodzieży w wieku 14–18 lat. Oferują naukę zawodu trwającą do 36 miesięcy albo przyuczenie do pracy do 22 miesięcy z bezpłatnym zakwaterowaniem i całodobową opieką.

Najpiękniejszy jest jednak język urzędników. Przedstawiciele OHP opowiadają w mediach, że chodzi o „kompletny system wsparcia: od profesjonalnego doradztwa przez edukację do zatrudnienia i pełnej integracji społecznej”. Człowiek niemal słyszy ten szelest unijnych broszur i widzi PowerPointa z uśmiechniętym nastolatkiem w kasku ochronnym. Tylko że pod tą nowomową kryje się nader konkretna rzeczywistość. Państwo mówi młodym: skoro nie wierzycie już w studia, to chodźcie nauczyć się fachu, bo ktoś przecież musi pracować fizycznie, gdy absolwenci socjologii będą pisać raporty o inkluzywności.

I może to jest najbardziej uczciwe: OHP niczego nie udaje, nie opowiada o „transformacyjnej sile akademii”, nie obiecuje, że po kursie człowiek będzie „liderem zmiany”. Mówi wprost: nauczymy cię zawodu.

Cała ta opowieść o edukacji kończy się więc dokładnie tam, gdzie się zaczynała. Na strachu przed biedą. Bo młodzi nie rzucają studiów dlatego, że są leniwi. Oni po prostu przestali wierzyć, że dyplom oznacza mieszkanie, stabilność i emeryturę. I trudno im się dziwić, że w takiej sytuacji bardziej ufają kursowi spawacza niż wykładowi o postmodernizmie.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl e9ac69a6d6

Kto wygrał?

Ciche zwycięstwo Iranu, zamęt w Libanie i Gaza pozostawiona sama sobie

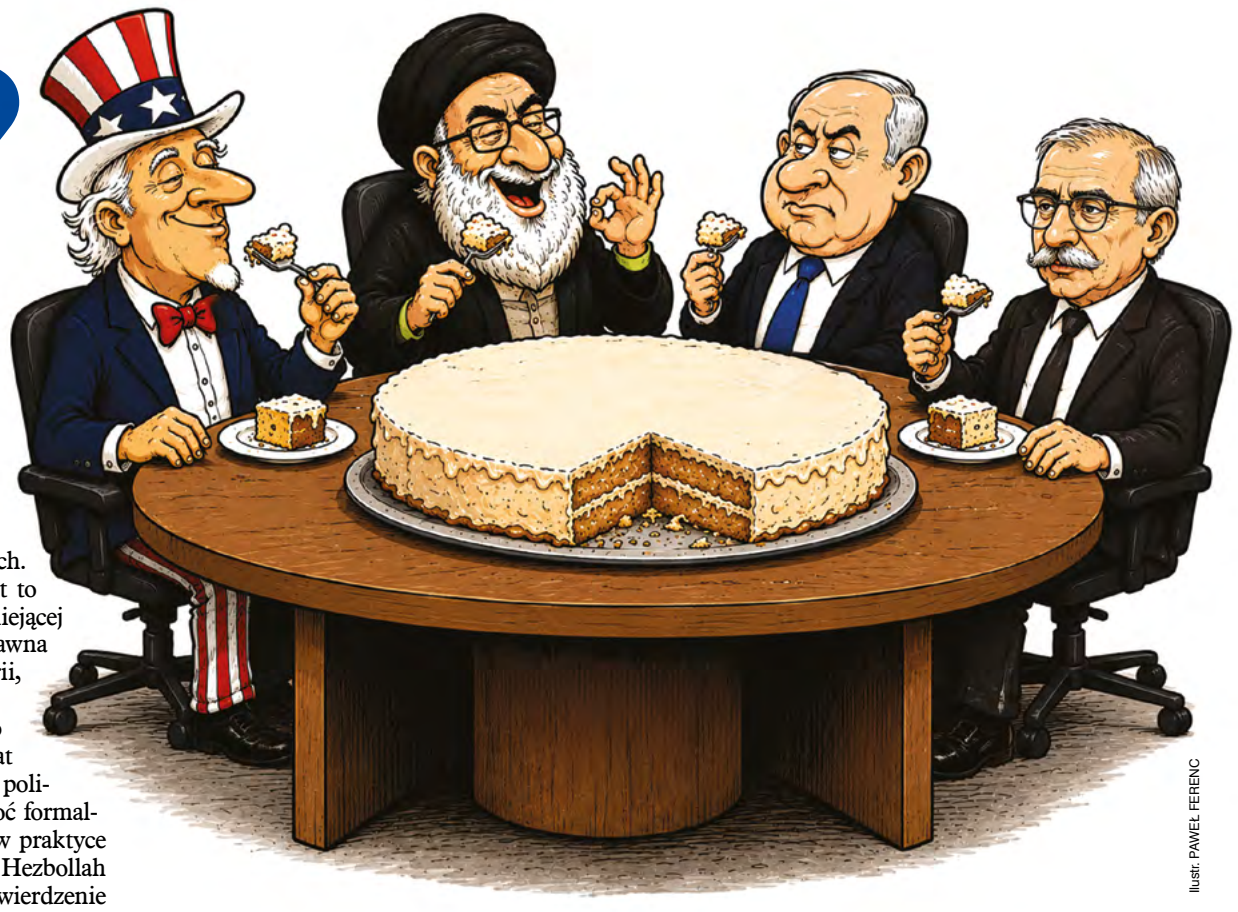

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Z perspektywy Bliskiego Wschodu – szczególnie tej, która od dekad doświadcza skutków nierównowagi sił – wstępne porozumienie między Stanami Zjednoczonymi a Iranem nie wygląda jak krok w stronę pokoju. To raczej nowe rozdanie w tej samej grze, w której decyzje mocarstw zapadają ponad głowami narodów regionu, a ich konsekwencje ponoszą ci, którzy nie siedzą przy stole negocjacyjnym.

Zawarte przy mediacji Pakistanu porozumienie nie kończy żadnego z kluczowych konfliktów. Ono je jedynie porządkuje i zawiesza, tworząc nową równowagę opartą na interesach, a nie na sprawiedliwości czy trwałej stabilizacji. W tym układzie Iran wychodzi jako strona wyraźnie wzmocniona. Uzyskuje częściowe zniesienie sankcji, dostęp do zamrożonych aktywów, perspektywę ogromnych programów gospodarczych oraz – de facto – uznanie swojej roli jako kluczowego gracza regionalnego. W zamian zobowiązuje się jedynie do rozmów o swojej roli w regionie – bez rezygnacji z podstawowych elementów swojej strategii bezpieczeństwa.

Z punktu widzenia równowagi sił oznacza to jedno: Teheran nie został osłabiony, lecz włączony do gry na jeszcze korzystniejszych warunkach. Dla wielu obserwatorów w regionie jest to nie tyle kompromis, ile formalizacja istniejącej już rzeczywistości, w której Iran od dawna współkształtuje układ sił w Iraku, Syrii, Libanie i poza nimi.

Najbardziej widocznym polem tego układu staje się Liban – państwo od lat pozbawione pełnej kontroli nad własną polityką bezpieczeństwa. Porozumienie, choć formalnie nie dotyczy Libanu jako państwa, w praktyce wzmacnia jego wewnętrzne napięcia. Hezbollah i jego sojusznicy odczytują je jako potwierdzenie swojej pozycji w regionalnym systemie sił, podczas gdy część elit państwowych widzi w nim kolejne ograniczenie suwerenności Bejrutu.

W efekcie Liban jeszcze bardziej przesuwa się w stronę struktury podwójnej władzy: z jednej strony instytucje państwowe, które próbują utrzymać resztki autonomii, z drugiej – silny aktor zbrojny, który działa w logice regionalnych sojuszy. Spór między nimi nie jest już tylko polityczny – staje się sporem o to, kto realnie reprezentuje państwo.

W tym kontekście słowa libańskich polityków o suwerenności brzmią coraz bardziej jak deklaracje niż opis rzeczywistości. Państwo, które nie kontroluje w pełni swojej strategii bezpieczeństwa, staje się bezwolnym elementem większej układanki, a nie jej podmiotem.

Izrael natomiast odbiera to porozumienie jako wyraźne ograniczenie swojej swobody działania. Niezależnie od oficjalnych komunikatów w izraelskiej debacie publicznej dominuje poczucie utraty inicjatywy strategicznej. Państwo, które przez lata opierało swoją doktrynę na prewencji i szybkim reagowaniu, dziś funkcjonuje w warunkach większej zależności od decyzji Waszyngtonu i międzynarodowych uzgodnień.

To nie tylko kwestia polityczna, ale również psychologiczna zmiana w postrzeganiu własnej pozycji w regionie. Izrael, który przyzwyczajony był do aktywnego kształtowania otoczenia, zaczyna reagować na decyzje podejmowane gdzie indziej.

Najbardziej niepokojący jest jednak fakt, że w całym porozumieniu praktycznie nie istnieje Gaza. To nie jest przypadkowe przeoczenie – to polityczna cisza, która ma realne konsekwencje.

Strefa Gazy, od lat poddana blokadzie, zniszczeniom i cyklicznym eskalacjom przemocy, pozostaje poza głównym nurtem negocjacji, jakby była oddzielnym światem.

Tymczasem to właśnie tam koncentruje się jeden z najbardziej dramatycznych wymiarów tego konfliktu: kryzys humanitarny, brak odbudowy, niepewność codziennego życia i brak jakiejkolwiek trwałej perspektywy politycznej. Pominięcie Gazy w dużym porozumieniu międzynarodowym oznacza w praktyce utrwalenie jej statusu jako przestrzeni „tymczasowego zawieszenia", które może zostać przerwane w każdej chwili.

W regionie pojawiają się również obawy, że nowe układy finansowe i polityczne mogą pośrednio wpłynąć na dynamikę grup zbrojnych i dalszą eskalację napięć. Jeszcze większe ryzyko wiąże się jednak z tym, że stabilizacja na jednym froncie może przesunąć presję militarną na inny – w tym właśnie na Gazę, która pozostaje najbardziej wrażliwym punktem całego systemu.

W tym sensie porozumienie nie rozwiązuje problemów regionu. Ono je przesuwa. Zmienia ich geografię, ale nie usuwa ich źródeł.

Strategia Stanów Zjednoczonych, oparta na etapowym wygaszaniu napięć i odkładaniu najtrudniejszych kwestii na później, może przynieść krótkoterminowy efekt stabilizacji. Jednak historia regionu pokazuje, że takie rozwiązania rzadko prowadzą do trwałego pokoju. Najczęściej zamrażają konflikty, które powracają w jeszcze bardziej intensywnej formie.

Z tej perspektywy obecne porozumienie nie jest końcem cyklu przemocy, lecz jego reorganizacją. Iran wychodzi z niego wzmocniony, Liban pogrąża się w jeszcze większej niejednoznaczności politycznej, Izrael redefiniuje swoje możliwości działania, a Gaza pozostaje miejscem zawieszenia – bez realnego miejsca w negocjacjach, ale z pełnym ciężarem konsekwencji decyzji podejmowanych gdzie indziej.

Bliski Wschód nie wszedł więc w epokę pokoju. Wszedł w nową fazę równowagi opartej na niepewności. Z perspektywy tych, którzy od lat żyją skutkami tego rodzaju układów, jedno pozostaje niezmienne: pokój nie rodzi się z porozumień mocarstw, jeśli nie obejmuje tych, których życie ma bezpośrednio zmienić. A w tym porozumieniu zbyt wielu z nich wciąż nie ma przy stole.

OMAR FARIS

Trumpolandia

Przywódca Wolnego Świata z dumą ogłosił, że wojna, która nie była wojną, tylko – uwaga – „operacją wojskową" i miała trwać cztery tygodnie, zakończyła się po 108 dniach totalnym zwycięstwem Ameryki. „Na Bliskim Wschodzie wydarzy się wiele wspaniałych rzeczy, ceny ropy gwałtownie spadają, a giełda wystrzeliła jak rakieta" – entuzjazmował się Trump. Jeśli chodzi o szczegóły, to prezydent był raczej oszczędny, ale wiemy, że zwycięstwo Ameryki polega na tym, że Iran otworzy cieśninę Ormuz – która przed rozpoczęciem wojny nie była zamknięta – a w zamian dostanie 300 mld dol., choć nie wiadomo od kogo. Wiadomo za to, że to zwycięstwo kosztowało Amerykę 113 mld. Irański sztab generalny wydał oświadczenie odrobinę odbiegające tonem od enuncjacji prezydenta USA: „Siły irańskie, narzucając swoją boską i żelazną wolę upokorzonym wrogom – Amerykanom i syjonistom – dobitnie pokazały, że wróg nie ma innego wyjścia, jak tylko uznać swoją klęskę i poddać się"…

Donald Trump odniósł także zwycięstwo nad nieczystymi rasowo najeźdźcami, którzy szturmują jego kraj w związku z kompletnie niezrozumiałym dla Amerykanów wydarzeniem, jakim są mistrzostwa świata w dziwacznym sporcie, zwanym w USA soccer. Niemile widziani są w USA kibice jednej czwartej drużyn biorących udział w mundialu. „Bardzo ciężko pracujemy, żeby tylko odpowiedni ludzie przyjeżdżali do naszego kraju" – orzekł Trump. Kraj gospodarz postanowił także wybierać sobie piłkarzy i sędziów. Drużyna irańska musiała zamieszkać i trenować w Meksyku, bo do Stanów jej nie wpuścili, podobnie jak Omara Abdulkadira Artana – pierwszego w historii arbitra z Somalii, który został wybrany do sędziowania meczów mistrzostw świata. Andrew Giuliani, dyrektor grupy zadaniowej Białego Domu ds. mundialu, zapytany, czy utrudnianie bądź uniemożliwianie wjazdu sportowcom niebędącym białymi ludźmi nie jest rasistowskie, odparł: „Ha, ha, proszę wytłumaczyć pytanie".

À propos ha, ha: republikański kandydat do kongresu Jackson Lahmeyer został przyłapany na wysyłaniu zalotnych zdjęć i dwuznacznych propozycji do aktywistki kampanijnej Caitlin Simmons Key. Polityczne kompetencje Caitlin najlepiej oddaje fakt, iż w 2007 r. jako Miss Oklahomy brała udział w konkursie Miss USA, a w 2016 r. złożyła oświadczenie, że Trump – właściciel konkursu – wcale nie wchodził do przebieralni, kiedy kandydatki były nagie. Historia nie byłaby warta uwagi, gdyby nie to, że Jackson – założyciel organizacji „Pastorzy dla Trumpa", namaszczony przez Donalda jako „wojownik MAGA" – jest nie tylko pastorem, ale także mężczyzną żonatym i ojcem pięciorga dzieci, a do tego wyróżnia się przenikliwością, z jaką wykrywa seksualne podstawy wszelkiej niemoralności. Objawił światu, że ruch Black Lives Matter założyły „lesbijki praktykujące czary", a „Antychryst będzie HOMOSEKSUALISTĄ pochodzenia żydowskiego". W odpowiedzi na gównoburzę Donald Trump napisał: „Jackson Lahmeyer ma moje pełne i bezwarunkowe poparcie. IDŹCIE I GŁOSUJCIE NA JACKSONA – ON WAS NIGDY NIE ZAWIEDZIE!".

AWŁ

Nie polecam tego sprzedawcy

Towary od Przywódcy Wolnego Świata

Z okazji 250. rocznicy deklaracji niepodległości prezydent USA Donald Trump miał dla Amerykanów świetną ofertę. Nie chodziło o darmową służbę zdrowia. Trump rzucił na rynek złote monety ze swoim wizerunkiem oraz deklaracją niepodległości i inwokacją *we the people* na rewersie.

Cena? 12 tys. dol. I ważne zastrzeżenie – moneta nie jest oficjalnym środkiem płatniczym, to tylko pamiątka dla patrioty idioty.

Nawet przeciwnicy Trumpa muszą to przyznać: w strefie handlu internetowego prezydent jest niestrudzony i kreatywny. Przez swoją rodzinną firmę Trump Organization stara się wycisnąć z amerykańskich obywateli jak najwięcej pieniędzy, oferując im rzeczy ze swoim nazwiskiem w logo. Oto ranking towarów sprzedawanych przez prezydenta USA.

Miejsce 6: Czapeczki

Czapeczki z daszkiem to dzisiaj bardzo popularny przedmiot kolekcjonerski. Trump oferuje wiele rodzajów, najpopularniejsze są oczywiście czerwone z hasłem „MAGA" – taką czapkę nosił też Jarosław Kaczyński – ale ponieważ ten model nie jest chroniony prawnie i sprzedaje go wiele osób, prezydent wypuścił własną serię – białą czapkę ze złotym napisem USA z przodu.

W ramach promocji Trump miał ją na głowie podczas ceremonii, w trakcie której oddawał honory owiniętym flagami trumnom sześciu amerykańskich żołnierzy poległych w jego wojnie z Iranem.

Promocja chyba się udała, bo lekceważący gest Trumpa omawiany był długo w mediach.

Czapka kosztuje 55 dol., ale sklep Trumpa od razu przyznaje 10% zniżki.

Miejsce 5: Perfumy o zapachu zwycięstwa

Pierwsze w historii perfumy sygnowane przez urzędującego prezydenta reklamowane są jako „zapach zwycięstwa, sukcesu i siły". Główne akordy zapachowe są drzewne i korzenne – słowem, walą piernikiem, co może być podprogowym nawiązaniem do 80. urodzin autora produktu.

Butelka w kształcie złotej statui prezydenta. Cena: 249 dol.

Miejsce 4: Złote buty

Są złote. Naprawdę złote. Wyglądają jak nagroda w turnieju disco polo sponsorowanym przez kasyno. Trump zaprezentował złote buty na targach w Filadelfii w 2024 r. Zakup butów za 399 dol. miał być wsparciem dla Trumpa w jego walce w sądach w czasie kampanii. Limitowana seria 1000 par trampek rozeszła się w jeden dzień.

Miejsce 3: Biblia „God Bless the USA"

Było coś dla ciała, teraz coś dla ducha. Biblia w wersji Króla Jakuba z treściami dodatkowymi poświęconymi USA opracowanymi przez muzyka country to według sloganu „jedyna Biblia zatwierdzona przez Donalda Trumpa". Na okładce dodano odniesienie do nieudanego zamachu na Trumpa z 2024 r. jako dnia boskiej interwencji. Cena: 69,99 dol., tysiąc trzeba zapłacić za egzemplarz z autografem. Trumpa, nie Jezusa.

Miejsce 2: Zegarek

Martwisz się inflacją. Rata kredytu rośnie. Za tankowanie do pełna płacisz niemal tyle co za Biblię z autografem. Propozycja prezydenta: „A może złoty zegarek za 100 tys. dol.?". To trochę tak, jakby strażak przyjechał do pożaru i próbował sprzedać gaśnicę podpisaną własnym nazwiskiem.

W dodatku w zegarku tylko cena była najwyżej jakości. Zawiedzeni klienci skarżyli się w telewizji, że dostali sprzęt marki „RUMP" – po naszemu „zad" – bo producent nie nadrukował jednej litery. Cena zegarków: od 650 dol. w górę.

Miejsce 1: Telefon Trump T1

To arcydzieło marketingu politycznego i handlowego. Najpierw reklamowano go jako telefon produkowany w USA – bo przecież cała polityka celna Trumpa koncentruje się na przeniesieniu produkcji z Chin z powrotem do USA i ograniczeniu deficytu handlowego.

Gdy dziennikarze i analitycy zaczęli zadawać pytania, gdzie dokładnie w USA telefon jest składany, ze strony zniknęły deklaracje o amerykańskiej produkcji. Zastąpiło je poetyckie określenie: *Designed with American values* (zaprojektowany z amerykańskimi wartościami).

Czy procesor wierzy w wolny rynek? Czy bateria kocha konstytucję? Analiza urządzenia wykazała, że telefon jest niemal identyczny z istniejącym wcześniej modelem marki HTC produkowanym w Azji.

Cena telefonu jest umiarkowana: 499 dol., co wskazuje, że złożono go w Azji.

• • •

Ocena na Allegro wystawiona przez amerykańskiego wyborcę mogłaby brzmieć tak:

„Zamówiłem niższe ceny, wyższą pensję, silniejszą gospodarkę i brak nowych wojen na drugim końcu świata. Dostałem ofertę na złote buty, Biblię, perfumy, złoty zegarek za cenę samochodu i telefon, który miał być »Made in USA«, a skończył jako chińska podróbka".

LEON ORŁOWSKI

eprasa.pl e9ac69a6d6

Państwo nie umie sobie poradzić z finansowaniem publicznych mediów

Abonament afektywny dwubiegunowy

Mija właśnie 18 lat od chwili, gdy usłyszeliśmy od Tuska, że abonament radiowo-telewizyjny jest „archaicznym sposobem finansowania mediów publicznych, haraczem ściąganym z ludzi, dlatego rząd będzie zabiegał o poparcie prezydenta i opozycji dla jego zniesienia”.

Zmieniło się sześciu premierów, dwa razy władzę przejmowało PiS, dwa razy wracała Platforma, Telewizja Polska została najpierw „odpolityczniona”, potem „upolityczniona”, następnie ponownie „odpolityczniona”, a abonament RTV pozostaje jedną z najbardziej osobliwych danin publicznych w Europie. Bo trudno znaleźć drugą opłatę, której znaczna część obywateli nie płaci, politycy obiecują ją zlikwidować, a państwo z uporem godnym lepszej sprawy ją nieustająco pobiera.

Jest, jak jest

Od początku roku miesięczna opłata za radioodbiornik wynosi 9,50 zł. Jeszcze rok wcześniej było to 8,70 zł. Za telewizor albo telewizor wraz z radiem trzeba natomiast zapłacić 30,50 zł miesięcznie zamiast wcześniejszych 27,30 zł. Kto wykaże się większą dyscypliną finansową i zapłaci z góry za cały rok, może liczyć na 10-procentową zniżkę.

Najbardziej fascynujące nie są jednak same stawki, lecz odpowiedź na pytanie, kto właściwie powinien płacić. Ustawa mówi wszak, że obowiązek dotyczy każdego, kto posiada odbiornik radiofoniczny lub telewizyjny zdolny do natychmiastowego odbioru programu. Kiedyś było to jasne. Telewizor stał w dużym pokoju, radio w kuchni, a antena na dachu. Dziś przeciętny obywatel ogląda TVP na smartfonie, słucha radia przez internet w samochodzie, seriale odpala na laptopie, a wiadomości śledzi na tablecie. Pojawiło się zatem pytanie, czy urządzenie, które nie przypomina telewizora, ale pozwala oglądać telewizję, jest odbiornikiem telewizyjnym. Według sądów administracyjnych – tak. Wielokrotnie wskazywały one, że znaczenie ma nie nazwa urządzenia, lecz jego funkcja. Liczy się możliwość odbioru programu, a nie handlowa klasyfikacja sprzętu. Ale ludzie mają takie wyroki gdzieś.

W 2024 r. wpływy abonamentowe wyniosły 643,2 mln zł. Ale że Polska liczy 37 mln mieszkańców, a gospodarstw domowych jest około 15 mln, to wychodzi, że większość obywateli abonamentu nie traktuje poważnie. Dlatego w 2024 r. wysłano ponad 118 tys. wezwań do zapłaty zaległości abonamentowych. Dziesiątki milionów złotych odzyskano w postępowaniach egzekucyjnych. Rekordzista z Dolnego Śląska uzbierał niemal 391 tys. zł długu z tytułu nieuregulowanego abonamentu.

Cała konstrukcja staje się tym bardziej osobliwa, że gdy spojrzeć na katalog zwolnień, to widać, że nie płacą osoby, które ukończyły 75 lat, inwalidzi wojenni i osoby zaliczone do pierwszej grupy inwalidzkiej. A nawet nie płacą emeryci, których świadczenia nie przekraczają określonych progów. Lista wyjątków jest tak długa, że w praktyce znacząca część społeczeństwa pozostaje poza systemem. Z tego powodu od wielu lat media publiczne otrzymują dodatkowo wielomiliardowe rekompensaty z budżetu państwa.

Czyli formalnie abonament RTV istnieje po to, aby finansować media publiczne, ale od wielu lat ich funkcjonowanie zależy głównie od transferów budżetowych. Oznacza to, że obywatel, który nigdy nie zarejestrował telewizora, i tak finansuje media publiczne swoimi podatkami.

Jeszcze będzie przepięknie

Jednym z takich obywateli jest Sławomir Mentzen, który się zeźlił na wyrok NSA, wyciągnął smartfon i przekonywał, że skoro w oczach państwa jest to telewizor, to przedsiębiorcy zostali postawieni w nader absurdalnej sytuacji. Jeżeli bowiem firma posiada kilka telefonów służbowych, kilka komputerów oraz samochody wyposażone w radioodbiorniki, to każde z tych urządzeń może stać się przedmiotem zainteresowania Poczty Polskiej oraz aparatu ścigania naszego państwa.

Ale nie tylko Mentzenowi abonament przestał się podobać. Resort kultury też zaczął przekonywać, że

system wymyślony jeszcze w epoce dominacji radia i telewizji nie odpowiada rzeczywistości, w której miliony obywateli korzystają z platform streamingowych, serwisów VOD oraz internetowych źródeł informacji.

I dlatego według projektu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego rok 2026 miał być ostatnim rokiem obowiązywania abonamentu RTV. Od 1 stycznia 2027 r. opłata miała zniknąć. W miejsce abonamentu miało pojawić się finansowanie mediów publicznych bezpośrednio z budżetu państwa. Oznaczało to przeznaczenie około 2,5 mld zł rocznie na działalność TVP, Polskiego Radia oraz rozgłośni regionalnych. Kwota ta miałaby podlegać corocznej waloryzacji o wskaźnik inflacji. Abonament miał więc zostać zlikwidowany, ale pieniądze na media publiczne nadal miały płynąć z kieszeni podatników. Zmienić miał się jedynie sposób poboru. Sprawa jednak przyschła.

Pewnie dlatego, że kilka tygodni później pojawiła się kolejna koncepcja. Tym razem abonament miał zostać zastąpiony nową opłatą audiowizualną. Miałaby być pobierana automatycznie przy rozliczaniu podatku dochodowego. Nie trzeba byłoby rejestrować telewizora. Nie trzeba byłoby zgłaszać radia. Nie trzeba byłoby nawet posiadać jakiegokolwiek odbiornika. Wystarczyłoby istnieć w systemie podatkowym. Nowa opłata miała wynosić około 8–9 zł miesięcznie. Na pierwszy rzut oka mniej niż obecny abonament telewizyjny. Tyle że nowa danina miała objąć praktycznie wszystkich podatników.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Projektodawcy przekonywali, że będzie sprawiedliwiej. Wskazywali, że zwolnieni zostaną seniorzy po ukończeniu 75. roku życia, uczniowie i studenci do 26. roku życia, osoby z niepełnosprawnościami, bezrobotni oraz osoby osiągające dochody niższe od płacy minimalnej. Dla pozostałych opłata miała stać się automatycznym elementem rozliczenia podatkowego. A co najzabawniejsze, zapowiedzi przedwyborcze o podniesieniu kwoty wolnej zmieniłyby się w swoje przeciwieństwo, bo PIT po prostu by o opłatę wzrósł. Ba, zaległe opłaty miały być egzekwowane aż do 31 grudnia 2028 r. Nawet więc po formalnym zniknięciu abonamentu obywatele mogliby jeszcze przez kilka lat otrzymywać wezwania dotyczące dawnych zobowiązań. Nikt nie zauważył, że z haraczy byłaby zwolniona wieś, bo tam z reguły nie płaci się PIT, tylko podatek rolny.

Ale to już było

Debata abonamentowa skończyła się tym, że od nowego roku opłaty za abonament znowu wzrosną. Za samo radio trzeba będzie płacić 10,80 zł miesięcznie. Za telewizor albo zestaw telewizor plus radio już 34,50 zł. A kto nie zarejestruje telewizora, może zapłacić 1035 zł. Za radio grozi 324 zł.

A teraz hit: pilnować, czy miliony obywateli posiadają zarejestrowane odbiorniki, ma około 30 ludzi, bo tylu ma takie obowiązki wypisane w umowie o pracę.

Jeszcze zabawniejsza jest rola Poczty Polskiej, instytucji, która od lat przeżywa finansowe turbulencje, traci klientów, redukuje zatrudnienie i szuka pieniędzy wszędzie tam, gdzie jeszcze coś zostało. No i zajmuje się polowaniem na telewizory. Do tego celu powołano specjalnych kontrolerów zatrudnianych przez Centrum Obsługi Finansowej Poczty Polskiej. Ludzi wyposażonych w upoważnienia, procedury, formularze i całą biurokratyczną machinę stworzoną po to, by sprawdzić, czy obywatel przypadkiem nie ogląda telewizji bez zgody państwa.

Cała ta operacja miałaby jeszcze jakiś sens, gdyby abonament utrzymywał medium cieszące się ogromnym społecznym zainteresowaniem. Tymczasem dane dotyczące oglądalności wyglądają dla telewizji publicznej jak protokół z sekcji zwłok. Program informacyjny „19.30”, który miał być symbolem nowego otwarcia po zmianie władzy, oglądało w maju średnio 1,26 mln widzów. Rok wcześniej było ich ponad 400 tys. więcej.

Jeszcze ciekawiej robi się, gdy spojrzymy na dane Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. W maju liderem telewizyjnym był Polsat z siedmioprocentowym udziałem w rynku. Wśród stacji informacyjnych Telewizja Republika miała 5,8 proc. udziału, TVN 24 – 4,9 proc., a TVP Info zaledwie 1,8 proc. Oznacza to, że kanał informacyjny finansowany z abonamentu przegrywa z każdym.

Najzabawniejsze jest jednak to, że wszystko dzieje się w czasie, gdy słyszymy nieustannie o śmierci telewizji. Okazuje się jednak, że telewizja nie umiera. Według najnowszych danych Polacy nadal spędzają przed ekranami około czterech godzin dziennie, a telewizja linearna wciąż odpowiada za około 80–85 proc. oglądania.

Problem TVP nie polega więc na tym, że ludzie przestali oglądać telewizję, lecz że oglądają coś innego. A mimo to państwo nie tylko utrzymuje abonament, ale jeszcze go podnosi.

Ale może jest w tym pewna logika. Skoro telewizję publiczną ogląda coraz mniej ludzi, to trzeba podnosić opłaty tym, którzy jeszcze zostali. A kiedy tych też zabraknie, zawsze pozostanie 30 kontrolerów Poczty Polskiej. Będą jeździć po kraju i szukać ostatniego obywatela posiadającego telewizor, a potem wystawią mu wezwanie do zapłaty. Bo w końcu ktoś musi utrzymywać instytucję, której nikt nie ma odwagi zlikwidować.

TADEUSZ JASIŃSKI

życie W DOBROBYCIE

● Przez lata polski transport drogowy pozostawał dowodem na to, że nad Wisłą można zbudować branżę zdolną podbić całą Europę. Polskie ciężarówki woziły towary od Portugalii po Finlandię, a rodzime firmy transportowe stały się symbolem przedsiębiorczości, zaradności i skuteczności. Dziś zaczyna to przechodzić do historii. Tylko w pierwszym kwartale z rynku zniknęły 1234 firmy transportowe. W ciągu zaledwie trzech miesięcy liczba likwidowanych przedsiębiorstw niemal zrównała się z wynikiem osiągniętym przez cały wcześniejszy rok. Przewoźnicy znaleźli się w pułapce. Maleje liczba zleceń, a na rynku nadal funkcjonuje ogromna liczba firm i pojazdów, które muszą zarabiać na swoje utrzymanie. W efekcie rozpoczęła się bezwzględna wojna cenowa. Przedsiębiorcy coraz częściej przyjmują zlecenia, które nie przynoszą zysku, a czasem wręcz generują straty. Wszystko po to, by ciężarówki nie stały bezczynnie na parkingach. Firmy posiadające po kilkadziesiąt, a niekiedy nawet kilkaset pojazdów ograniczają floty. Samochody są sprzedawane, a leasingi wygaszane. Transport zawsze był gospodarczym termometrem. Więc jeśli ciężarówki przestają jeździć, oznacza to, że coś niedobrego dzieje się z całą gospodarką. I trudno traktować to jako przejściowe spowolnienie.

● Gdy portugalscy właściciele Biedronki liczą kolejne miliardy zysków wyciągane z polskich kieszeni, inni zagraniczni właściciele handlowych imperiów też nie zamierzają siedzieć z założonymi rękami. I właśnie dlatego właściciel Stokrotki postanowił zamieszać w strukturze własnościowej swojego biznesu. I nie dlatego, że źle mu idzie. Litewski holding Vilniaus Prekyba postanowił zatem podzielić swój handlowy organizm na dwie części, żeby jeszcze sprawniej wyciskać pieniądze z różnych rynków Europy. Stokrotka jest dziś już gigantem mającym niemal 1000 sklepów rozsianych po całej Polsce, które wygenerowały przychody sięgające 1,9 mld euro. Teraz ten biznes ma trafić pod skrzydła spółki Paretas BV. Wszystko w ramach „globalnej i głębokiej restrukturyzacji”. To zaś oznacza, że zagraniczni właściciele handlu w Polsce doszli do wniosku, iż na naszym rynku da się zarabiać tak dobrze, że warto budować jeszcze bardziej skomplikowane struktury właścicielskie. Ale w oficjalnych komunikatach zawsze mówi się o elastyczności operacyjnej, uporządkowaniu struktury, optymalizacji i nowym modelu zarządzania. Nigdy zaś, że chodzi po prostu o pieniądze. Najbardziej fascynujące jest jednak to, że gdy portugalskie, litewskie czy niemieckie centrale rozważają nowe modele właścicielskie, kolejne przejęcia i reorganizacje, ludzie pracujący w polskich sklepach Dino opowiadają o pracy przypominającej wojskowy poligon. O gigantycznym tempie, brakach kadrowych i obowiązkach, których przybywa szybciej niż pracowników. Czyżby polscy właściciele sklepów byli jacyś inni?

● Od lat słyszymy, że banki są fundamentem nowoczesnej gospodarki. Że bez nich nie byłoby kredytów, mieszkań, inwestycji i rozwoju. A tu proszę... Prezes UOKiK Tomasz Chróstny opowiada mediom o rynku kredytowym, który urósł do ponad 200 mld zł, o pożyczkach, które w ciągu zaledwie dwóch lat wzrosły z 8,5 do 25,5 mld zł. A skoro ludzie pożyczają coraz więcej, to znaczy, że zaczyna im brakować pieniędzy. Chróstny przyznał przy tym, że nowa ustawa o kredycie konsumenckim ma „diametralnie przebudować rynek”. Takiego języka urzędnicy zwykle nie używają, kochają słowa „doprecyzowanie”, „usprawnienie”, „aktualizacja”. Jeżeli więc ktoś mówi o przebudowie całego rynku, to znaczy, że obecny model funkcjonowania zaczyna budzić poważne zastrzeżenia nawet wśród ludzi, którzy na co dzień nie należą do krytyków sektora finansowego. Oczywiście, gdy tylko pojawił się pomysł wzmocnienia ochrony klientów, natychmiast pojawiły się głosy ostrzegające przed katastrofą. Ministerstwo Finansów uznało część propozycji za „nadmierne i nieproporcjonalne”. A mowa o instytucjach osiągających rekordowe wyniki finansowe. Mimo to każda próba ograniczenia ich wpływów traktowana jest jak zamach na fundamenty państwa. Projekt przewiduje również, że jeżeli kredyt zostałby udzielony bez wyraźnego wniosku i zgody konsumenta, klient nie musiałby oddawać nawet kapitału. W normalnym świecie brzmi to całkowicie logicznie. W świecie finansowym takie pomysły urastają jednak do rangi rewolucji. Dlatego tak mocno wybrzmiewają słowa Chróstnego o „banksterce”, bo to określenie pojawiło się wszak w ustach człowieka stojącego na czele urzędu państwowego. Ale nie należy się spodziewać, że po tych słowach cokolwiek się zmieni. W Rzeczypospolitej niezmienne wszak pozostaje przekonanie, że gdy interes obywatela zderza się z interesem sektora finansowego, to obywatel powinien wykazać się zrozumieniem. Najlepiej wysoko oprocentowanym.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

● Nie ma chyba w Polsce grupy zawodowej, która z taką konsekwencją opowiadałaby o swojej biedzie jak nauczyciele. Są niedocenieni, źle opłacani, ledwo wiążą koniec z końcem i pracują ponad siły. I pewnie dlatego jeszcze przed końcem wakacji nauczyciele otrzymają dodatkowe świadczenie urlopowe wynoszące 2943,23 zł brutto. Po potrąceniu 12-procentowego podatku daje to około 2590 zł na rękę. Ale kiedy górnik dostaje dodatkowe świadczenie, mówi się o przywilejach. Gdy mundurowy otrzymuje dodatki, mówi się o uprzywilejowanej grupie zawodowej. A jak urzędnik dostaje nagrodę, media grzmią o marnowaniu pieniędzy podatników. Kiedy zaś nauczyciel dostaje prawie 2600 zł na rękę tylko dlatego, że nadchodzą wakacje, wtedy słyszymy, że to i tak za mało. Ba, świadczenie to nie jest uzależnione od faktycznego wykorzystania urlopu, dni wolnych, sytuacji rodzinnej czy liczby dzieci. Pieniądze po prostu się należą. Co więcej, od tej kwoty nie są pobierane składki ZUS. I to nie jest pierwszy rok takich świadczeń. W roku szkolnym 2021/2022 świadczenie wynosiło 1662,97 zł brutto. Rok później było to 1704,87 zł brutto. Następnie kwota wzrosła do 2417,14 zł brutto. Oczywiście można powiedzieć, że nauczyciele powinni zarabiać więcej. Można twierdzić, że edukacja jest fundamentem państwa, i przekonywać, że najlepsi absolwenci uczelni powinni trafiać do szkół. Ale czym innym jest walka o wyższe wynagrodzenia, a czym innym nieustanne kreowanie wizerunku grupy zawodowej żyjącej w skrajnej nędzy. Niech więc nauczyciele zarabiają jak najwięcej, ale może warto byłoby przy okazji zdobyć się na odrobinę uczciwości wobec tych wszystkich ludzi, którzy nie dostają wakacyjnych świadczeń, specjalnych dodatków i gwarantowanych przelewów pod koniec sierpnia.

TTJ

eprasa.pl e9ac69a6d6

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Fioletowe usta

Duch Paetza krąży nad episkopatem

Szeregowych księży oskarżanych o nadużycia seksualne u nas dostatek, ale duchownych wyższych szarżą wciąż niewielu. Występują w takich sprawach, owszem, ale zazwyczaj jako ci, co zamiatali pod dywan i przenosili na inną parafię. Biskupa oskarżyć trudniej, bo to jednak wpływowa persona, a nie byle wikary. Tym bardziej na Śląsku, gdzie zwykły farorz ma szacunek, a co dopiero jego ekscelencja. Tymczasem to właśnie śląski biskup jest jednym z pierwszych oskarżonych o czyny lubieżne.

Bepe Gerard Bernacki nie żyje od 2018 r., co znacznie utrudnia mu obronę. Metropolita katowicki Andrzej Przybylski powołał wszakże komisję historyczną, która ma zbadać wiarygodność wysuwanych przeciwko Bernackiemu oskarżeń. Trzyosobowy skład to dwóch księży i specjalistka od prawa kanonicznego. Kuria katowicka zaprasza do kontaktu: „Zwracamy się z prośbą do wszystkich, którzy mogli doświadczyć krzywdy ze strony zmarłego bp. Gerarda Bernackiego, a także do osób posiadających wiedzę o ewentualnych krzywdach, przestępstwach lub okolicznościach mogących mieć znaczenie dla wyjaśnienia sprawy, o kontakt z zespołem”…

W lutym do kurii zgłosił się mężczyzna, który twierdzi, że w latach 80. był molestowany przez aktualnego nieboszczyka. Skoro powstała komisja, przesłanki są raczej poważne. Zresztą bepe Bernacki już za życia otoczony był złą sławą. Gdy w 2012 r. przeszedł na emeryturę, Watykan kazał mu się wynosić z diecezji. Papież zakazał mu uczestnictwa w celebracjach na terenie archidiecezji katowickiej i ostatnie lata życia Bernacki spędził na wygnaniu. Tułał się po klasztorach bonifratrów w Zakopanem, Warszawie i Prudniku. Gdy w 2018 r. zmarł, nie pochowano go w katedrze, ale jak zwykłych śmiertelników na cmentarzu. Niedługo potem do mogiły dołączył – hm – przyjaciel biskupa, również ksiądz, i tak sobie leżą.

Gerard Bernacki – zanim został biskupem – był kapelanem innego hierarchy, 91-letniego dziś Damiana Zimonia, który rządził Katowicami w latach 1985–2011.

Zimoń zrobił Bernarda biskupem, a ten znany był w diecezji z niezbyt postnego trybu życia. Nieraz trzeba go było przewietrzyć, zanim wyszedł na bierzmowanie, bo za wcześnie zaczął świętować. Do celibatu też nie miał przekonania. Dopóki archidiecezją rządził Zimoń, wszystko uchodziło mu na sucho.

Gdy stery przejął abepe Wiktor Skworc, sielanka się skończyła i Bernacki musiał pożegnać się z posadką i diecezją. Ten sam Skworc, który również miał swoje za uszami – do tego stopnia, że przed emeryturą Watykan wyznaczył jego następcę, żeby pozbyć się go w białych rękawiczkach. Wyczyny Bernackiego to było za wiele nawet dla Skworca.

Oskarżenia po 40 latach od domniemanego czynu obarczone są oczywiście ryzykiem naciągania. Ale kariera Bernackiego tak się toczyła, że nawet jego koledzy z branży nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Jako biskup mógł sobie sam czyścić kartotekę, więc dojście do prawdy będzie tym trudniejsze. No i obciążałoby to abepe Damiana Zimonia, który na Śląsku jest postacią znaną i poważaną. Taka rysa na życiorysie na pewno mu się nie przyda, a wielu zależy na tym, by legenda trwała. A przecież to Zimoń wypromował swojego sekretarza, wyświęcił na biskupa i przez dekady blisko z nim współpracował. Wszyscy wiedzieli, a on nie?

Gerard Bernacki to drugi w ostatnim czasie biskup z molestowaniem w tle. Pierwszy to również nieżyjący Jan Szkodoń z Krakowa. Opisujący sprawę red. Szymon Piegza z Onetu pisał niedawno: „Kolejne kobiety zgłaszają się do krakowskiej kurii, opisując krzywdę, jakiej miały doświadczyć ze strony biskupa Jana Szkodonia. Kardynał Grzegorz Ryś obiecał powołanie komisji, ale właśnie się z tego wycofuje”. Krakowska kuria zarzuca dziennikarzowi manipulację. „Metropolita krakowski jest przekonany o potrzebie powołania diecezjalnej komisji historycznej, która wyjaśni także sprawę zmarłego biskupa Jana Szkodonia. Kardynał czeka jednak na ukonstytuowanie się komisji ogólnopolskiej, żeby ustalić możliwości współpracy oraz zakres działania komisji diecezjalnej” – odparował rzecznik kardynała.

Nie dziwota, panowie Ryś i Szkodoń się znali i chyba lubili. Mszy pogrzebowej zmarłego biskupa przewodniczył Dziwisz, zaś egzekwie nad grobem odprawiał nie kto inny jak Ryś. Nie będzie teraz koledze komisji urządzał. A ta ogólnopolska powstaje, powstaje i powstać nie może.

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Koń zwalił księdza. Do wypadku doszło w Bodzewie w województwie wielkopolskim. 53-letni proboszcz parafii w Chwałkowie w trakcie pielgrzymki jechał bryczką z dwiema pasażerkami. W pewnym momencie w czasie wymijania ciągnika rolniczego zwierzę ciągnące pojazd się spłoszyło. Kobiety podróżujące bryczką zdążyły dać dyla, natomiast klecha został uwięziony pod wozem. Spłoszony koń ciągnął proboszcza przez kilkadziesiąt metrów. Mężczyzna doznał rozległych obrażeń rąk, głowy i nóg. Duchowny został zabrany do szpitala przez zespół Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. A wystarczyło iść z buta, jak Pan Bóg przykazał.

✚ Po licznych incydentach zakłócania mszy dominikanie z Kościoła Najświętszej Maryi Panny Królowej Różańca Świętego w Poznaniu zdecydowali się zamontować monitoring. Jak tłumaczył lokalnym mediom przeor Marek Urbanowski, do świątyni przychodzi coraz więcej osób chorych psychicznie, które zakłócają porządek. „Po prostu nagle w trakcie trwania Eucharystii krzyczy, że jest zbawicielem, albo kładzie się w kaplicy adoracji i sobie tam odpoczywa, śpiąc, nie zawsze zostawiając tam miłe zapachy” – tłumaczył przeor, dodając, że niektórzy robią ze świątyni toaletę. Dominikanie podkreślają, że ci ludzie odrzucają propozycje pomocy, a interwencje służb są niewystarczające. Cóż, każdy musi dźwigać swój krzyż.

✚ Ksiądz Jan Wodniak, były wieloletni proboszcz z Międzybrodzia Bialskiego, znów trafił do rejestru Państwowej Komisji ds. Pedofilii. Pierwszą decyzję komisja podjęła w lutym. Było to pokłosie sprawy Janusza Szymika, byłego ministranta z Międzybrodzia Bialskiego, który oskarżył klechę o popełnienie kilkuset gwałtów. Równolegle do Państwowej Komisji ds. Pedofilii trafiła inna sprawa, w której kolejna pokrzywdzona osoba oskarżyła ks. Wodniaka. Na podstawie przeprowadzonego postępowania dowodowego komisja uznała, że duchowny jest winny i 12 marca 2026 r. wydała postanowienie o ponownym wpisaniu go do rejestru sprawców pedofilii. Obie strony miały czas, by odwołać się od tej decyzji. Tak się nie stało. Ostatecznie wpis pojawił się w rejestrze 29 maja. Serdecznie gratulujemy.

✚ Mirosław M., były proboszcz parafii w Przypkach koło Tarczyna, podejrzany o brutalne zabójstwo bezdomnego mężczyzny, stanie przed sądem również za wcześniejszą próbę popełnienia zabójstwa tej samej ofiary. Przypomnijmy: klecha podejrzany jest o dokonanie zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem na swoim znajomym, 68-letnim bezdomnym Anatolu C. Mirosław M. od lipca 2025 r. przebywa w areszcie. Biegli z zakresu psychiatrii orzekli, że był poczytalny w chwili popełniania czynu, czyli ataku siekierą, oblania łatwopalną cieczą i podpalenia poszkodowanego. Z nowych ustaleń śledczych wynika, że przed ostatecznym zabójstwem duchowny podjął nieudaną próbę zamordowania Anatola C. Do zdarzenia miało dojść krótko przed śmiercią mężczyzny, jednak plan został pokrzyżowany przez przypadkowego traktorzystę. Wcześniej bezdomny mężczyzna przekazał księdzu nieruchomość w zamian za pomoc w znalezieniu mieszkania i zabezpieczenie opieki. Prokuratura Okręgowa w Radomiu zapowiada skierowanie aktu oskarżenia do sądu w najbliższych tygodniach.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

KLECHA

OPUSzczony

Romanowski przeniesiony do innej parafii

Były minister sprawiedliwości Adam Bodnar stwierdził w TOK FM, że w sprawie Marcina Romanowskiego „nie łączymy kropek” i o miejsce jego pobytu powinniśmy pytać Opus Dei.

– Myślę, że pan redaktor, jako ekspert w różnych stosunkach kościelnych, pewnie ma większą wiedzę, żeby ustalić jego miejsce pobytu – zwrócił się do prowadzącego audycję Tomasza Sekielskiego, autora filmów o pedofilach w sutannach.

Redaktor był lekko zaskoczony. Bardzo zgrabny zabieg, żeby odwrócić uwagę od własnej nieudolności i zawalonych rozliczeń. Jeżeli dziennikarz ma większe możliwości niż minister sprawiedliwości, to w fajnym państwie żyjemy.

Bodnar przeforsował mimochodem tezę o wszechpotędze organizacji, zwanej kościelną masonerią. Jeżeli wierzyć w teorie spiskowe, to połowa polityków to masoni, a druga to opusdeiści, tertium non datur. Rządzą nami albo zapiekli wrogowie Kościoła kat., albo jego wierni synowie otoczeni czułą opieką kleru. To jeszcze bardziej przerażająca perspektywa niż to, że Sekielski może więcej niż Bodnar.

W każdym razie to, że uchodzący za zachowawczego

polityk KO lansuje w mediach tezę o wszechmocy Opus Dei – to nowa jakość. Ale czego się nie zrobi, żeby samemu wyjść na czystego. Przecież w starciu z tak wielką mocą, jaką ma Opus Dei, minister sprawiedliwości nie ma żadnych szans.

Prof. Bodnar stwierdził, że „prawdopodobnie to nie jest tak, że z tej organizacji człowiek się wypisuje, tylko pewną ochronę ma do końca życia”. Pobrzmiewa tu trochę „doktryna Neumana”, który w 2017 r. tłumaczył samorządowcowi z Tczewa, o co w tym wszystkim chodzi. „Jedna zasada jest dla mnie święta. Naucz się tego, jak będziesz o czymkolwiek rozmawiał. Jak będziesz w Platformie, będę cię bronił, kurwa, jak niepodległości. Jak wyjdziesz z Platformy, to masz problem”. Każda struktura ma metody chronienia swoich i niszczenia obcych. Partia, sekta, loża – do wyboru, do koloru.

Rys. OBYWATEL JANEK

Romanowski swoich związków z Opus Dei nigdy nie ukrywał, choć sama organizacja nie wywiesza na płotach listy członków. O byłym wiceministrze sprawiedliwości wiadomo, że jest numerariuszem, czyli świeckim żyjącym w zakonnym niemal rygorze. Numerariusze przestrzegają celibatu, mieszkają w ośrodkach Opus Dei, a zarobki przekazują przełożonym. Od mnichów różnią się tym, że normalnie pracują, zazwyczaj w prestiżowych zawodach – jako lekarze czy prawnicy. Założyciel Opus Dei ks. Josemaría Escrivá de Balaguer nie prowadził rekrutacji wśród sprzątaczek. Zależało mu na członkach elity, którzy mają realny wpływ na państwo. Żyjąc według ortodoksyjnie katolickich zasad, mają formować świat na papistowską modłę. Wiceminister sprawiedliwości się do tego idealnie nadaje.

Osobliwa to jednak moralność, która dopuszcza współpracę z także poszukiwanym Ziobrą. Prokuratura zarzuca Romanowskiemu udział w zorganizowanej grupie przestępczej, poświadczanie nieprawdy w dokumentach oraz wyrządzanie szkody w wielkich rozmiarach w mieniu Skarbu Państwa. Miał on uczestniczyć w wałkach w Funduszu Sprawiedliwości, który to fundusz – zamiast pomagać ofiarom przestępstw i skazanym wychodzącym z więzienia – do czego został powołany – zasilał budżety podmiotów związanych z ziobrystami, jak choćby ks. Michał „Salceson” Olszewski. Jako numerariusz Opus Dei Romanowski nie mógł kraść dla siebie – wszystko, co zdołałby przytulić, teoretycznie powinien przekazywać Dziełu. Ryzykował więc altruistycznie, na chwałę Bożą i pożytek organizacji.

Członkowstwo w międzynarodowej organizacji zrzeszającej elity i mającej ośrodki na całym świecie rzeczywiście może być pomocne w ucieczce przed wymiarem sprawiedliwości. Ale władze Opus Dei odżegnują się od swojego numerariusza. Już w grudniu 2024 r. organizacja wydała krótkie oświadczenie. „W nawiązaniu do publikacji medialnych powtarzających nieprawdziwe informacje, informujemy: Marcin Romanowski nie mieszka i nie przebywa w ośrodkach związanych z Opus Dei. Władze Prałatury nie posiadają wiedzy na temat miejsca jego pobytu”. Skoro oświadczają, to musi tak być. Kościelna organizacja przecież by nie kłamała.

Sekta ma większe zmartwienia niż Romanowski. Niedawno wyszła książka „Opus Dei. „Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna”. Jej autor, Gareth Gore, został przyjęty na audiencji przez papieża Leona XIV, któremu zreferował swoje ustalenia. Za Opus Dei wziął się już papież Franciszek, ale mu się zmarło.

W swojej książce Gore pisał m.in. o numerariuszach, którzy, choć prowadzą skromne życie, nie mogą się obejść bez służby. „Korzystając z dostępu do dokumentów bankowych i relacji osób z wewnątrz oraz wypowiedzi sygnalistów z samego Opus Dei, Gore ujawnia, jak pieniądze z banku wykorzystywano do budowania potęgi organizacji i w jaki sposób z kobiet z biednych środowisk robiono darmową siłę roboczą, służącą numerariuszom. Śledzi także wzrost znaczenia Opus Dei w Stanach Zjednoczonych, pokazując jego rolę w finansowaniu wielu prawicowych inicjatyw” – reklamuje książkę wydawca. „To nie jest literatura faktu, lecz strumień świadomości nieskrępowany rzeczywistością” – recenzuje prawicowy historyk prof. Paweł Skibiński, co jest dobrą rekomendacją.

Papież z zainteresowaniem wysłuchał Gore’a i obiecał dokładniejsze prześledzenie tematu. Ale rozwiązanie mafii w mafii może okazać się zadaniem ponad siły amerykańskiego szefa Kościoła kat. Idąc tokiem rozumowania Adama Bodnara, tu może pomóc tylko red. Sekielski.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

eprasa.pl e9ac69a6d6

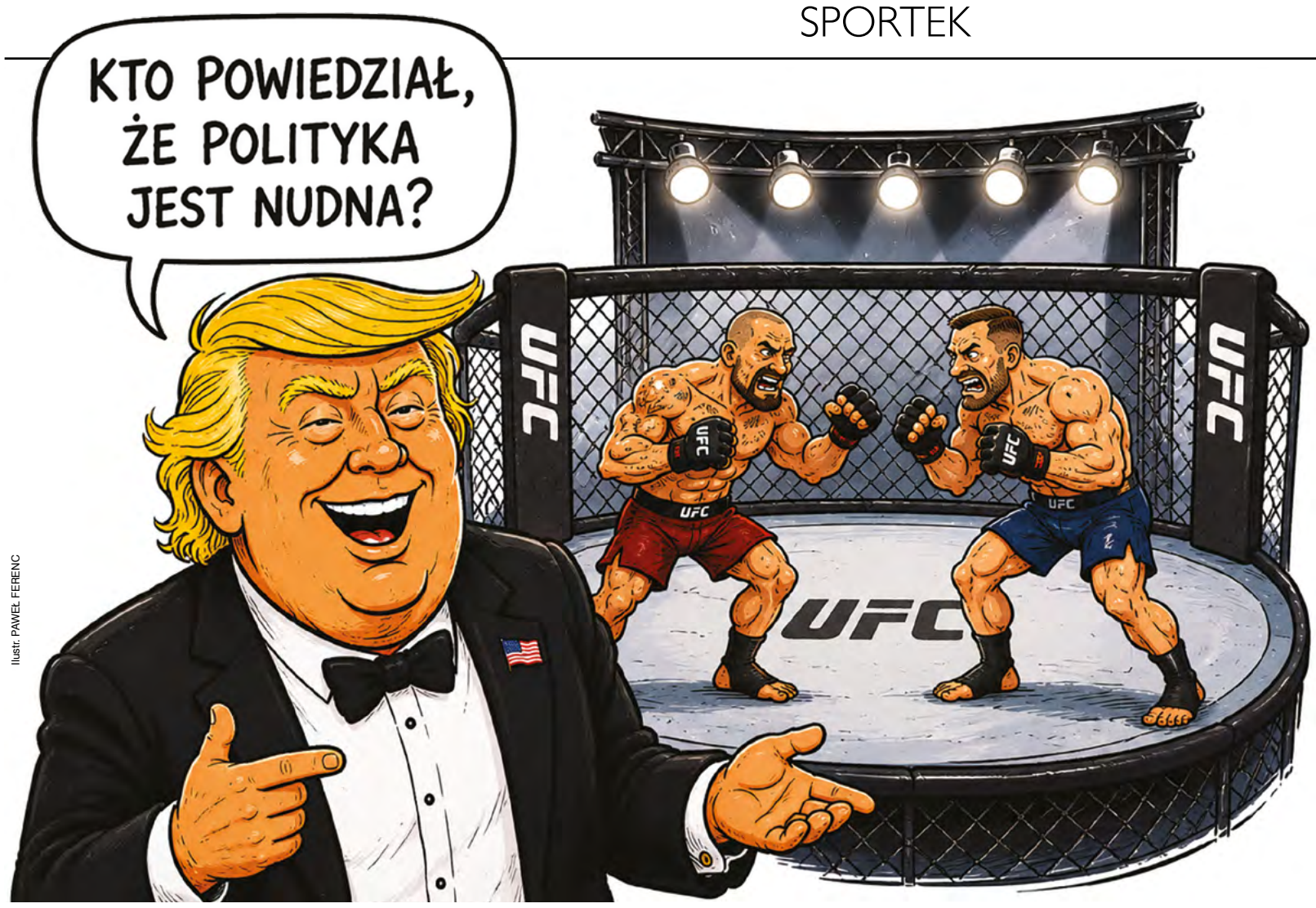

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Prezydent Nawrocki bawił za oceanem

Gladiatorzy Donalda

Prezydent Karol Nawrocki ruszył za ocean, by wziąć udział w świętowaniu 250-lecia USA oraz zabawić się na urodzinach gospodarza Białego Domu. Po części obowiązkowej, czyli odśpiewaniu „Happy Birthday", oraz zdmuchnięciu świeczek (czy było ich 80, bo tyle wiosen ukończył gospodarz, nie wiem) przyszedł czas na wręczaniu prezentów. Prezydent Karol Nawrocki przytaszczył na uroczystość coś nadzwyczajnego: tablicę, która ma być wbudowana w łuk triumfalny w Arlington.

Mordobicie w ogrodach prezydenckich

No nie, tego prezentu nawet taki siłacz jak nasz prezydent nie dałby rady wnieść do Białego Domu, waży bowiem – bagatela – 120 kg. Do Białego Domu przyniósł tylko miniaturkę. Tablica – ta prawdziwa, a nie miniaturka – wykonana jest z białego marmuru i mają na niej widnieć nazwiska Polaków zasłużonych dla Stanów Zjednoczonych i Polski: Kazimierza Pułaskiego, Tadeusza Kościuszki oraz podobno Karola Nawrockiego, jako fundatora.

Wreszcie nastąpiło clou programu, część artystyczna, czyli goście wyszli przed Biały Dom, gdzie specjalnie na tę okazję pod baldachimem zbudowano oktagon do walk MMA, zorganizowanych przez największą i najbardziej liczącą się federację UFC.

Tytuł mistrza świata przyznany przez UFC poważany jest na całym świecie, wyłączając oczywiście konkurencyjne federacje walk MMA, które przyznają swoje mistrzowskie tytuły. Joanna Jędrzejczyk, mistrzyni świata UFC w wadze słomkowej w latach 2015–2017, zyskała sporą popularność w naszym kraju. Mnie akurat bardzo podobała się inna nasza zawodniczka UFC, nieustępliwa i nadambitna Karolina Kowalkiewicz, choć to ona najczęściej dostawała po gębie, także od Joanny Jędrzejczyk. Karolina potrafiła wejść do oktagonu krótko po operacji oka uszkodzonego w walce i znowu została pokonana. Po walce z jej pokrwawionej twarzy spływały łzy. Czy to nie piękne?

Do prezydenckiego samolotu udającego się w podróż na urodzinową galę prezydenta Trumpa wsiadł Jan Błachowicz, przez rok mistrz UFC w wadze półciężkiej. Mądry ruch ze strony otoczenia Karola Nawrockiego. Na urodzinowej gali w Białym Domu miało być 4,5 tys. ludzi. Czort wie, jakie towarzystwo tam się zjawi i wybuli za bilet, który potrafił kosztować milion dolków, a nawet więcej. Rosły i krzepki ochroniarz zawsze może się przydać, na SOP bym nie liczył, bo to służba podległa rządowi. Być może w razie konieczności Błachowicz mógł powstrzymać pierwszego obywatela RP, gdyby ten – przed czym ostrzegał go premier Donald Tusk – zamierzał wejść do klatki.

MMA, czyli mieszane sztuki walki (ang. *mixed material arts*), to dyscyplina, w której zawodniczki i zawodnicy stosują metody ze wszystkich innych sztuk walki, przy bardzo ograniczonym zakazie niedozwolonych chwytów. Wygrywa się przez nokaut, duszenie lub wyłamywanie stawów, którego rywal nie jest w stanie wytrzymać. Zwycięstwo zdarza się również na punkty, sędziowie oceniają wówczas osobno każdą z trzech – lub w przypadku bojów mistrzowskich pięciu – pięciominutowych rund. Remisy zdarzają się niezmiernie rzadko, ciężkie urazy często, dlatego uczestników walk nazywa się współczesnymi gladiatorami.

Tylko nie Donald

Prezydent Donald Trump mógł sobie nawet nie zdawać sprawy, że zapraszając zawodników na turniej organizowany dla swoich gości, nawiązuje do czasów starożytnych. Rzymscy patrycjusze zamawiali niekiedy do swoich luksusowych willi (takich ówczesnych Mar-a-Lago) gladiatorów, by ci podczas uczt walkami zabawiali gości. Damy, leżąc na szezlongach, lubiły pomacać spocone muskuły siłaczy. Ze źródeł pisanych wiadomo, że gladiatorzy bardzo tego nie lubili, woleli bić się dla tłumów w amfiteatrach, ale kto pyta o zdanie gladiatorów?

Podczas gali UFC Freedom 250 – bo tak oficjalnie się nazywała – zaplanowano siedem pojedynków współczesnych gladiatorów, a najważniejsze to walka o pas wagi lekkiej między Ilią Topurią i Justinem Gaethje oraz o tymczasowy tytuł w wadze ciężkiej Alex Pereira vs Ciril Gane. Nie słyszałem, by damom ubranym w wieczorowe stroje od czołowych projektantów świata wydano zakaz macania zawodników, ale kto wie, co zrobią, oszołomione szampanem i innymi zagranicznymi trunkami…

Jak to na urodzinach bywa – kto tego nie zna? – w miarę osuszania butelek atmosfera coraz bardziej się rozluźnia, pryskają konwenanse. Gwar się wzmaga, wszyscy chcą mówić, nikt nie ma zamiaru słuchać. Ludzie stukają się kieliszkami, a alkohol potrafi przełamywać lody. Tu i ówdzie przy stole ludzie wypijają bruderszaft. I oto widzimy, jak prezydent USA proponuje swojemu przyjacielowi, prezydentowi małego kraju w centralno-wschodniej Europie, wypicie brudzia. Przekłada ramię przez muskularny biceps Polaka i mówi głosem nietolerującym sprzeciwu:

– Zrezygnujmy ze sztywnego protokołu, Charles, mów mi Donald.

– Sorry, ekscelencjo, tylko nie Donald, to słowo nie przejdzie mi przez usta – protestuje Nawrocki i od razu ucieka w inny kąt złotej sali balowej w Białym Domu.

Ta sala jest cudna. Zewsząd kapie złoto, a zasłony wybierał osobiście prezydent najpotężniejszego imperium na świecie, o czym poinformował dziennikarzy, którzy czekali raczej na jakieś wieści o rozpętanej przez Amerykę wojnie z Iranem. Gospodarz mówi, że obiekt prócz porażającej estetyki zapewnia bezpieczeństwo narodowe, bo jest odporny na drony i na wszelkie tego typu latające niebezpieczne świństwa. Słowem, Charles, możesz tu tańcować do rana bez obaw o siebie i swój piękny kraj, który leży chyba gdzieś w Europie.

Kryptokumple

Obaj, Nawrocki i Trump, są wielkimi kibicami mieszanych sztuk walki. Polak nawet próbuje sił w oktagonie, oczywiście na amatorskim poziomie. Trump woli golfa, bo tam nie dają po mordzie. Oczywiście uderzyć może w głowę zabłąkana twarda piłeczka, ale nim trafi w prezydenckie oko, zestrzeli ją pocisk wystrzelony z wyrzutni Patriot.

Obu dygnitarzy łączy coś jeszcze. Są zwolennikami kryptowalut. Nawrocki tuż przed wylotem do USA zdążył po raz trzeci zawetować ustawę regulującą rynek tego rodzaju operacji finansowych. I to mimo złego doświadczenia z giełdą Zondacrypto, która przed ucieczką jej prezesa za granicę zdołała pozbawić oszczędności wielu Polaków.

Z radością Karol Nawrocki zobaczył słowo „crypto" na gali w Białym Domu. Sfinansowała ją największa na świecie giełda kryptowalut Crypto.com, nawiasem mówiąc, założona przez Polaka Krisa Marszalka, zagorzałego trumpistę i aktywistę ruchu MAGA.

Rozmach imprezy sportowej w Białym Domu był tak wielki, że przyćmił odbywające się w tym czasie mistrzostwa świata w jakiejś dziwnej grze „soccer", w której zawodnicy biegają półtorej godziny po boisku, a bramek pada jak na lekarstwo, albo nawet w ogóle.

Nowy Jork entuzjazmował się zdobyciem mistrzostwa NBA przez koszykarzy New York Knicks, a Polskę mógł wbić w dumę fakt, że w nowojorskim zespole grał Jeremi Sochan, który wszedł na parkiet na ostatnie osiem sekund. Ale jakże to wszystko może się równać z urodzinową bibką w Białym Domu?

Nawet ludzie nieprzychylni prezydentowi Nawrockiemu muszą przyznać, że jest on osobą sprytną, na swój sposób inteligentną, i zapewne od razu zaczął myśleć, jak urządzić swoje urodziny, zwłaszcza że zbliżają się nieuchronnie, bo już w sierpniu.

Zorganizowanie gali MMA przed Belwederem nie wchodzi w rachubę, bo zaraz złośliwcy zaczęliby się z niego naśmiewać, że ślepo małpuje prezydenta Trumpa. Poza tym Nawrocki – co wyszło na jaw podczas kampanii wyborczej – jest zwolennikiem innego rodzaju walk, które on nazywa szlachetną męską rywalizacją, a policja – ustawkami. W jednej z nich, między bandziorami Lechii Gdańsk a kibolami Lecha Poznań, obecny prezydent wziął na pewno udział, sam się przyznał. Czy było tego więcej – trudno dziś stwierdzić. Po obu stronach owej szlachetnej rywalizacji wzięło udział po ok. 70 kiboli; Lechia była górą.

Ustawka dla głowy państwa

Ustawka to rzeczywiście szlachetna rywalizacja, obie strony mają równe szanse, bo posługiwanie się kastetami i maczetami jest dozwolone dla obu stron – w odróżnieniu od MMA, zajęcia raczej dla miękiszonów. W MMA zawodnicy mają jednak zakazy, czego u naszych stadionowych bandytów nie ma. I tak: w MMA nie wolno wkładać palców do oczu i w inne fizjologiczne otwory, gryźć, zabronione jest kopanie w jajca, dawanie z główki, stosowanie dźwigni na palce; no nie, to nie jest sport dla prawdziwego prezydenta prawdziwych Polaków!

Pomysł na rozwiązanie problemu sierpniowych urodzin Karola Nawrockiego nasuwa się sam. Za Pałacem Namiestnikowskim rozciągają się rozległe ogrody. Wprost idealne miejsce na ustawkę. Prezydent oczywiście walczyć będzie w pierwszej linii, jak Ulrich von Jungingen pod Grunwaldem, a nie – jak Władysław Jagiełło – obserwować wszystko z daleka, np. z okna pałacu. Szkoda, że von Jungingen to Niemiec, ale Jagiełło też nie był rdzennym Polakiem, lecz Litwinem i należałoby go zlustrować. Może miał w żyłach trochę krwi ukraińskiej lub żydowskiej? Ukraińskiej – na pewno tak, to zostało udokumentowane, natomiast gdzieś w kronikach mógł się zachować zapis, że któraś z jego babek puściła się z pejsatym karczmarzem.

W lustrowaniu Karol Nawrocki nabył wprawy jako prezes IPN. Na pewno tego nie zostawi.

Rys. PAWEŁ FERENC

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 17.06.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl e9ac69a6d6

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Jak to zakaz? – zdziwił się minister Przydacz, kierownik prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej. – Dlaczego?

– Tak rozkazał szef – powtórzył minister Szefernaker, kierownik Gabinetu Prezydenta Rzeczypospolitej.

– Ale jakim słowem można zastąpić oktagon? Ring, mata, arena, tatami?

– Synonimy też są zakazane. Te, które wymieniłeś, i wszystkie inne. W ogóle lepiej nie mówić o tym wydarzeniu.

– Dlaczego? – upierał się Przydacz.

– Jeśli ktoś zacznie od zakazanego miejsca, to skończy na pytaniu o czas rozmowy szefa z prezydentem Trumpem – cierpliwie wyjaśnił Szefernaker.

– Jak zapyta, to odpowiem: nikt nie mierzył, ale rozmowy podczas urodzin były konstruktywne, pożyteczne i chwalebne dla Polski. Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy, po pierwsze Donald Trump.

– Urodziny też są zakazane. Na razie na miesiąc.

– Rozumiem. – Przydacz pochylił głowę. – Daj mi od razu listę wszystkich zakazanych słów i pojęć.

Kierownik gabinetu sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wyjął trzy kartki, które wręczył kierownikowi biura.

– Aż tyle! – zawołał zdumiony Przydacz, zerkając na indeks pojęć zakazanych.

Szefernaker wzruszył ramionami.

– To o czym wolno mówić? – zapytał pierwszy.

– Na przykład o wakacjach – zaproponował drugi. – Oraz jak zwykle o szkodnikach. O Tusku, Czarzastym, a zwłaszcza o Sikorskim.

– Czyli o szkodnikach na wakacjach? – upewnił się Przydacz.

– Tak jest! – zgodził się Szefernaker z entuzjazmem w głosie. – Można wspomnieć, żeby szkodniki spędzały wakacje za granicą, bo będą tam szkodzić, a nie w naszej umiłowanej ojczyźnie.

– A co, jeśli szkodnik Sikorski pojedzie na wakacje za granicę, a tam pójdzie na turniej, podczas którego zawodnicy będą walczyć w zakazanym miejscu?

– Kombinuj – doradził Przydaczowi Szefernaker. – Szef płaci ci za to, żebyś umiał kombinować.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN i **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** minęły się na Paradzie Równości. Los nie sprzyja ich związkowi.

Wołk-Łaniewska: – To opowiadaj, jak było z tym ślubem...

Senyszyn: – Udzieliłam trzech ślubów…

– Tylko?

– Bo poza mną poślubiały jeszcze Majka Jeżowska i Mandaryna, a Reni Jusis zajęła miejsce za konsoletą i zadbała o oprawę muzyczną.

– I co powiedziałaś tym poślubionym?

– Że wprawdzie nasza ceremonia nie ma mocy prawnej, ale skoro co trzecie małżeństwo w Polsce kończy się rozwodem, to związki zawarte przed urzędnikiem stanu cywilnego czy pobłogosławione przez księdza też nie dają gwarancji długiego wspólnego życia…

– To prawie tak, jak ci sugerowałam w zeszłym tygodniu: „kto się ożenił, rozwieść się musi”… I jeszcze słyszałam, że wznosiłaś antypaństwowe okrzyki pod pałacem prezydenckim.

– Jakie tam antypaństwowe? Wołałam: „Nawrocki, chodź do nas, nie bój się, homofobię się leczy”. To ostatnie było zainspirowane kontrmanifestacją, która miała transparent: „Homo – to się leczy”…

– Jeśli chodzi o kontrmanifestacje, to mnie najbardziej rozczulili antyaborcjoniści, którzy na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej urządzili swój tradycyjny lament nad mordowaniem dzieci poczętych. Może ktoś by im powiedział, że odsetek aborcji w związkach jednopłciowych jest zgodny z ich oczekiwaniami – w odróżnieniu od małżeństw sakramentalnych?

– Myślę, że to przekracza granice ich zdolności poznawczych. Wracając do parady: śluby odbywały się na platformie z napisem „Just Married”, ale ja byłam nieco zazdrosna, bo najbardziej podobała mi się platforma „Dancingu międzypokoleniowego”…

– Wiem, wiem, z hasłem „Silver Power”! Mnie też! Nawet postanowiłam, że muszę pójść na taki dancing, choć nie tańczę. Trochę mnie zniechęca myśl, że w stratyfikacji pokoleń będę po tej „srebrnej” stronie…

– Niekoniecznie. Tam przychodzą też faceci w wieku 70 i 80, akurat dla ciebie. Poczekaj do jesieni, bo jesienią będę na tym dancingu didżejką…

– A jaki masz gust muzyczny? Nagle mi przyszło do głowy, że tego o tobie nie wiem. Jaką muzykę będziesz grała?

– Też jeszcze nie wiem, bo gustuję w piosenkach literackich. Dla mnie ważne są przede wszystkim słowa. Lubię piosenki Osieckiej, Młynarskiego, Kofty, a z nowszych Marii Peszek, Andrusa. Raczej nie są do tańca, więc może puszczę jakieś pościelowce z czasów mojej młodości. Będziesz się mogła poprzytulać, a nie tylko skakać z zachowaniem jedynie kontaktu wzrokowego na odległość.

– Skakać, powiadasz? To może jednak sobie odpuszczę… Zmieniając temat: chciałam cię skomplementować z pozycji klasowych.

– O, to coś nowego, przeważnie mnie krytykujesz z pozycji klasowych…

– Ale tym razem jestem z tobą w całej rozciągłości. W temacie marksowskiej analizy stref czystego transportu.

– Ależ oczywiście, że jest to dyskryminacja o charakterze klasowym. To fikcja stworzona przez bogatych dla bogatych, a uderzająca w biednych, którzy mają stare samochody.

– W tym w Wołka!

– A ty już nie podstawiaj nogi do kucia, dobrze? Mogłabyś sobie kupić nowy samochód, jakbyś chciała…

– No ale nie chcę. Mój samochód w tym roku kończy 20 lat i nasz związek jest najdłuższym związkiem w moim życiu, choć kupiłam go z drugiej ręki. Ale jest Saabem, czyli dzieckiem firmy, która została zamordowana przez Amerykanów – a konkretnie General Motors – w odwecie za przywiązanie do jakości. Nowego Saaba kupić nie mogę, a nic innego nie chcę, więc niech się walą z tym czystym transportem.

– Zwłaszcza że pod oknem masz swoją ukochaną siedemnastkę i w ogóle nie jeździsz samochodem.

– Prawda. Ale i tak się czuję dyskryminowana. Mam tylko nadzieję, że do końca 2027 r. – bo do tego czasu zakaz mnie nie obowiązuje – cała ta propaganda się wykrzaczy. I jeszcze raz zmieniając temat: byłam w niedzielę w ambasadzie kubańskiej na spotkaniu ze znakomitymi dziewczynami z kampanii „Let Cuba breathe”…

– Czyli „Pozwólcie Kubie oddychać”…

– Dziewczyny – skądinąd Włoszki – jadą minibusem przez Europę i mają spotkania w różnych miastach, gdzie opowiadają o sytuacji na Kubie i o tym, jak gangsterskie imperium dusi malutką wyspę, tylko dlatego, że odrzuciła kapitalizm. I dusi ją już od 66 lat, w odwecie za znacjonalizowanie mafijnego majątku, ale to, co wyprawia ten pomarańczowy maniak, nie ma precedensu.

– Wołku, wszyscy wiemy, że jesteś kubańską fanatyczką.

– Dumną fanatyczką. Mam tatuaż z Che Guevarą i dwa portrety Fidela w domu…

– Zapomniałaś o dwóch prezentach ode mnie: o torbie podróżnej z podobizną Che i pierwszym polskim wydaniu jego książki „Dzienniki motocyklowe”, która jest z 2002 r., czyli starsza niż twój Saab…

Ilust. PAWEŁ FERENC

– Oczywiście, że nie zapomniałam, wszystkie Che celebruję z miłością. Ale nie trzeba miłości, wystarczy mieć odrobinę przyzwoitości, żeby być po stronie kraju, któremu imperium wyłącza prąd w domach, szkołach i szpitalach. Mówimy dużo o Palestynie, mówimy dużo o Iranie i Libanie – i słusznie, bo tam wszędzie USA z Izraelem dopuszczają się zbrodni wojennych – ale o Kubie mówi się za mało, więc ja teraz będę przy każdej nadarzającej się okazji.

– To nadawaj.

– W marcu na Kubie była grupa zachodnich polityków i aktywistów, w ramach takiej kampanii na wzór Flotylli Sumud, pod nazwą Nuestra América Convoy, dostarczyła 20 ton żywności, leków i sprzętu solarnego. I był tam – nie zgadniesz…

– Zgadnę: Jeremy Corbyn.

– A skąd wiesz?

– Poznałam po twoim tonie pełnym zachwytu.

– Jeremy opowiedział, jak w Nowy Rok 1959 matka obudziła go nad ranem i powiedziała: „Fidel jest w Hawanie”. I głos mu się załamał, i ja mu tego bardzo zazdroszczę, bo też bym chciała kiedyś usłyszeć o zwycięstwie rewolucji – nie w filmie historycznym, tylko w realu. Ale na razie chciałam powiedzieć: *A Cuba no se toca!*

– Słucham?

– Kuby się nie tyka. Tak będę kończyć każdą dyskusję o stosunkach międzynarodowych.

– *Ceterum censeo Carthaginem esse delendam…*

– A żebyś wiedziała. Tak jak Katon uważał, że Rzym nie będzie bezpieczny, dopóki istnieje Kartagina, tak samo ja myślę o Kubie i USA. A tak dokładnie: o reszcie świata i USA. Już nawet Albania nie jest bezpieczna, a zdawałoby się, że 8 tys. km to zdrowy dystans sanitarny… W końcu Albania nie jest nawet w „zachodniej hemisferze”…

– Ale walczy. 200 tys. ludzi wyszło na ulicę w proteście przeciwko inwestycji Ivanki Trump i Jareda Kushnera na „pięknej prywatnej wyspie”, która jest zdecydowanie państwowa. I warto odnotować, że Unia Europejska, którą tak chętnie krytykujesz, w tej akurat sprawie zachowuje pion. Zarówno Komisja Europejska, jak i przewodniczący Rady Europejskiej António Costa przypomnieli premierowi Ediemu Ramie, że w ramach procesu akcesyjnego musi przestrzegać przepisów dotyczących ochrony środowiska…

– Pytanie, czy ten łysy aferzysta się tym przejmie. Raczej na to nie wygląda, zważywszy, że ostatnio w swoim podkaście ogłosił, że hasło demonstracji – „Albania należy do Albańczyków” – jest przesycone „duchem faszystowskim, jak w Niemczech w latach trzydziestych”.

– Rozumiem, że amerykańscy miliarderzy są prześladowaną mniejszością.

– Coś jest na rzeczy. W końcu jest ich tylko 977 – na 8 mld ludzi na świecie. Wprawdzie do kupy mają prawie 10 bln dolków, ale za to wszyscy ich nienawidzą. Biedactwa.

– Nie wszyscy. Od 1989 r. polskie władze kochają bogatych. W zasadzie tylko bogatych.

– Ale obecnie tylko polskich bogatych – w ramach „patriotyzmu gospodarczego”.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl e9ac69a6d6